

VIP

MAGAZYN

Ewa

★ **KASPRZYK**

Lucyna

★ **MALEC**

Ola

★ **TRZASKA**

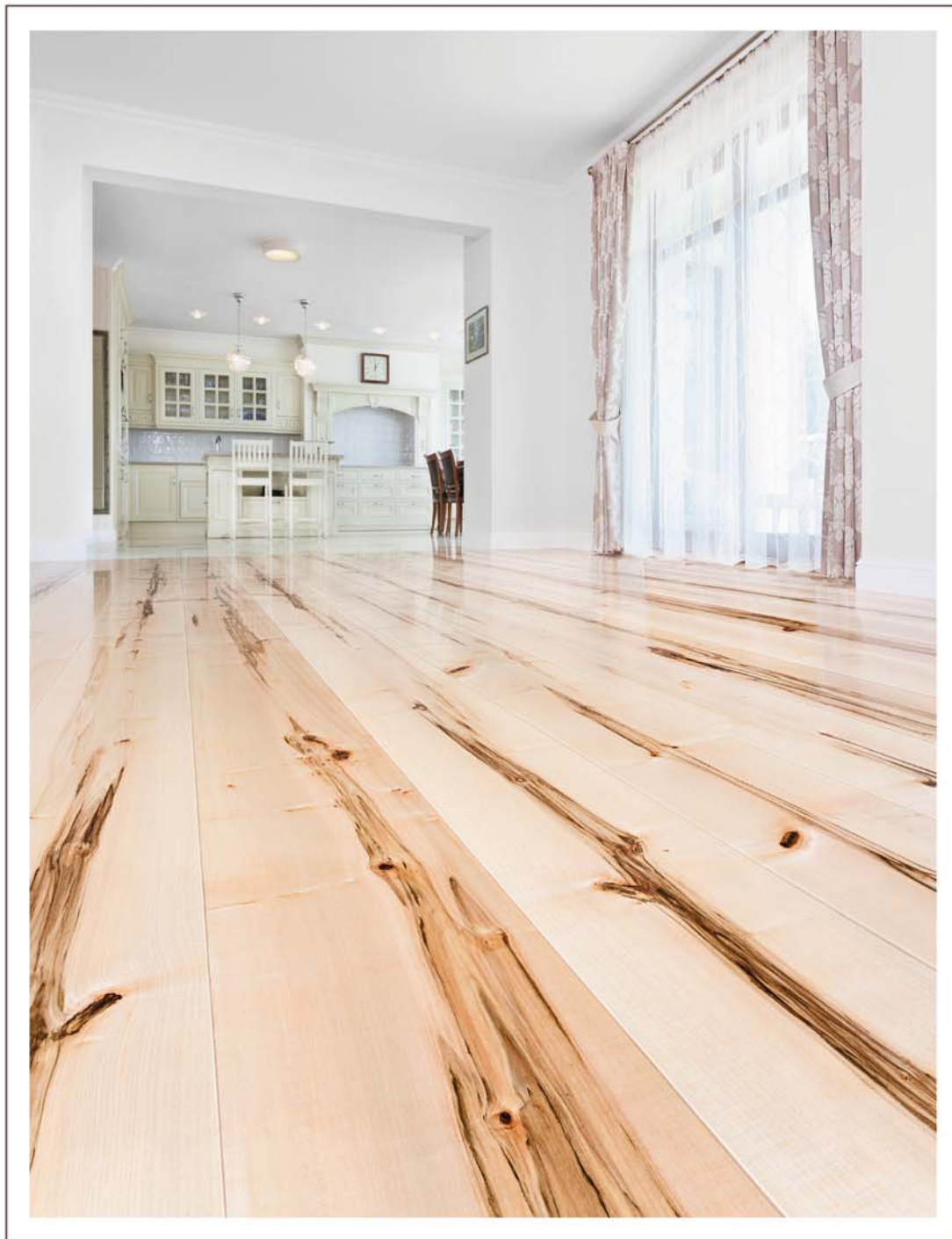
Andrzej
SEWERYN

Laureat nagrody VIP 2016



SCHODY • PODŁOGI • WNĘTRZA

PROJEKT I REALIZACJA NA INDYWIDUALNE ZAMÓWIENIE



Marchewka®

tel. +48 71 397 01 94 • kom. 513 184 515
schody@marchewka.pl
www.marchewka.pl

W numerze



Fot. Renon Zdobrowczy

- | | | | |
|----|----------------------------------------------------------------------------|-----|---------------------------------------|
| 4 | WYDARZENIA | 56 | KULTURA |
| | ROZMOWA VIP-a | 60 | LIDER PRZEDSIĘBIORCZOŚCI |
| 8 | Ewa Kasprzyk
„Na życiowej huśtawce” | 64 | BIZNES |
| 16 | Ola Trzaska
„Prawdziwość pozbawiona jest schematów” | 81 | BANK PRZYJAZNY
DLA PRZEDSIĘBIORCÓW |
| 19 | Danuta Stankiewicz
„Żyjemy, póki mamy marzenia” | 84 | INNOWACYJNOŚĆ, BADANIA,
ROZWÓJ |
| 22 | Andrzej Seweryn
„Ma pani do czynienia z człowiekiem szczęśliwym” | 88 | POLSKA NAGRODA JAKOŚCI |
| 30 | Lucyna Małec
„Czekając na Oscara” | 92 | CERTYFIKAT
NAJWYŻSZA JAKOŚĆ |
| 36 | PRZEDSIĘBIORSTWO FAIR PLAY | 94 | PODRÓŻE VIP-a |
| 44 | GMINA FAIR PLAY/PRZYJAZNA POLSKA | 100 | STYL VIP-a |
| 54 | LODOŁAMACZE 2016 | 104 | MODA VIP-a |
| | | 108 | AUTO VIP-a |
| | | 114 | MAREK FRĄCKOWIAK KOMENTUJE |

Fot. Marta Ankersztejn



Redakcja

ul. Korfanteo 75, 01-496 Warszawa
tel.: (22) 832 42 53, 832 42 54
faks: (22) 832 24 99
e-mail: vip@maxmedia.org.pl
www.magazynvip.pl

Redaguje kolegium

Mariusz Piotr Gryzewski
(redaktor naczelny)
Justyna Franczuk
(sekretarz redakcji)
Jerzy Marcinkowski
(zastępca sekretarza redakcji)
Jarosław Adkowski
Jarosław Dudek
Sławomir Gmaj
Ewa Goliszewska
Kornelia Jankowska
Leszek Jasiński
Igor Korczyński
Szymon Kraszewski
Zuzanna Maj
Monika Michałowska
Barbara Michorowska
Małgorzata Szerfer-Niechaj
Marianna Szczepańska
Marlena Szczęśna

Dystrybucja w Polsce

EMPIK, KOLPORTER SA, RUCH SA,
DISTRIBUTION POINT GROUP

Prenumerata

KOLPORTER SA, RUCH SA

Projekt i skład

MaxMedia (Daniel Kuciński)

Zdjęcia na okładce

Krzysztof Bieliński

Druk

MaxMedia

Wydawca

MaxMedia,
01-932 Warszawa, ul. Estrady 67,
NIP 118-088-54-88

Numer oddano do druku
18.01.2017 r.

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Publikowane zdjęcia i materiał są własnością redakcji oraz prezentowanych firm i instytucji. Przedruk tylko za zgodą wydawcy. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów.

IZBA WYDAWCÓW PRASY



PATRONAT
MEDIALNY



VIP 3

Spowiedź lidera

Andrzej Krzywy, lider kultowego zespołu De Mono, największej gwiazdy polskiej estrady początku lat 90., odkrywa karty na łamach książki „Na Krzywy ryj”. Opowiada o dzieciństwie na warszawskim Służewcu, pełnym paradoksów życiu muzyka w czasach PRL-u, receptce na przebój, pustych kieszeniach, przypadkowych znajomościach, sukcesach w „nowej Polsce”, układach, imprezach, koncertach, psychofankach, kobietach swojego życia oraz o tym, jak to się stało, że dziś w Polsce grają dwa zespoły o tej samej nazwie. Takie przeboje jak „Kochać inaczej”, „Moje miasto nocą” czy „Zostańmy sami” śpiewają kolejne pokolenia.

JA



Andrzej Krzywy podczas promocji swojej książki

Fot. materiały prasowe



Od lewej: François Thiébaud i Iman Shumpert

Mistrzowski duet

Władze najlepszej drużyny NBA w 2016 r. – Cleveland Cavaliers – poinformowały o zawarciu wieloletniej umowy partnerskiej z firmą Tissot, oficjalnym chronometrażystą amerykańskiej ligi koszykówki. Marka Tissot po raz pierwszy wprowadza na rynek zegarek dla mistrzów – Tissot PRS 516 NBA Championship Watch 2016. Model zdobi logo mistrzowskiej drużyny oraz umieszczony na kopercie wizerunek pucharu Larry’ego O’Brienia. Kolekcja limitowana obejmuje zaledwie 100 sztuk. Podczas gali inicjującej wprowadzenie na rynek nowego zegarka David Griffin (general manager), Len Komoroski (CEO), Tyronn Lue (trener) oraz zawodnicy zespołu Cleveland Cavaliers, m.in.: Iman Shumpert, Richard Jefferson oraz Jordan McRae, otrzymali z rąk prezydenta marki Tissot Françoisa Thiébauda zegarki Tissot PRS 516 NBA Championship 2016.

JA

Fot. materiały prasowe

Order Uśmiechu dla Kuby

Jakub Błaszczykowski otrzymał Order Uśmiechu. O to wyróżnienie wnioskowały dzieci z kilku placówek opiekuńczych i pacjenci wrocławskiego szpitala. W gronie ponad tysiąca kawalerów Orderu Uśmiechu Jakub Błaszczykowski jest trzecim sportowcem. Jego uroczysta dekoracja odbyła się w Częstochowie podczas wielkiej imprezy Świąteczne Granie z Kubą, dokonał jej kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu Marek Michalak. Dzieci wytypowały piłkarza z Truskolasów nie za jego umiejętności na boisku, ale za osiągnięcia poza nim. Błaszczykowski to darczyńca akcji charytatywnych, założyciel fundacji Ludzki Gest, której celem jest pomaganie dzieciom i młodym ludziom. Piłkarz aktywnie uczestniczy w życiu dzieci chorych i opuszczonych.

JA



Od lewej: Jakub Błaszczykowski i Marek Michalak

20 lat współpracy

W związku z 20. rocznicą powstania Tunezyjskiego Urzędu ds. Turystyki w Warszawie do Polski przyjechała liczna delegacja przedstawicieli tunezyjskiego rządu: Salma Elloumi Rekik, minister turystyki i rzemiosła, Abdellatif Hmam, dyrektor generalny Tunezyjskiego Urzędu ds. Turystyki, oraz Rzig Oueslati, dyrektor generalny Tunezyjskiego Urzędu ds. Wód Termalnych wraz z przedstawicielami branży turystycznej. Tunezja to jeden z pierwszych krajów, do którego 20 lat temu turyści z Polski zaczęli masowo wyjeżdżać na wakacje organizowane przez biura podróży. Największą ich liczbę, tj. ok. 200 tys., zanotowano w 2008 r. Tunezja pozostaje niezmiennie jednym z ulubionych kierunków wakacyjnych podróży Polaków.

JA

Fot. materiały prasowe



Salma Elloumi Rekik podczas uroczystej gali w Hotelu Bellotto

Fot. Jarosław Adkowski



Od lewej: Dominika Kulczyk i Joanna Luberadka-Gruca

Premiera książki Dominiki Kulczyk

W siedzibie Edipresse Polska odbyła premiera książki Dominiki Kulczyk „Efekt Domina”. W spotkaniu udział wzięły autorka oraz prezes Fundacji Przyjaciółka Joanna Luberadka-Gruca. Premierę swoją obecnością uświetnił Marek Michalak (Rzecznik Praw Dziecka), który objął honorowy patronat nad książką. Przy pracy nad serialem dokumentalnym „Efekt Domina” Dominka Kulczyk spotykała dzieci, które cierpią przez niesprawiedliwość i biedę, ale mimo to (a może właśnie dlatego) mają w sobie siłę, by walczyć o szczęście. Tymi niezwykłymi historiami z całego świata podzieliła się teraz w książce pod tym samym tytułem. Edipresse Książki i Kulczyk Foundation zysk ze sprzedaży przekażą na rzecz małych podopiecznych Fundacji Przyjaciółka.

JA

Prestiżowa nagroda

Jedną z najpopularniejszych linii rejsów wycieczkowych w Polsce jest MSC Cruises. Podczas uroczystej gali All Stars of the Seas, która miała miejsce na pokładzie MSC Fantasia, prezes zarządu Grupy Atlas Tours Marek Piksa odebrał z rąk dyrektora generalnego MSC Cruises Angelo Capurro statuetkę za największą sprzedaż rejsów na polskim rynku. To już kolejny rok, gdy Grupa Atlas Tours otrzymuje tę prestiżową nagrodę. Przypominamy, że firma jest także największym organizatorem rejsów z polskim pilotem. W nadchodzącym sezonie czeka nas premiera najnowszego statku MSC Cruises – MSC Meraviglia. W ofercie Grupy Atlas Tours dostępny będzie rejs z polskim pilotem – „Śródziemnomorska odyseja”.

JA

Fot. materiały prasowe



Od lewej: Angelo Capurro i Marek Piksa

Europejska przygoda trwa

Legia Warszawa w 1/16 Ligi Europy zmierzy się 16 i 23 lutego z Ajaxem Amsterdam. Stało się to możliwe po zajęciu trzeciego miejsca w rozgrywanych jesienią meczach grupowych Ligi Mistrzów. Gdy Legia przegrała u siebie w pierwszym meczu 0:6 z Borussią Dortmund, niewielu wierzyło w taki finał. Błyskawiczna zmiana trenera – Benjamina Hasiego zastąpił Jacek Magiera – odmieniła oblicze drużyny. Kluczowy był remis 3:3 z Realem Madryt na własnym boisku. Zwycięstwo 1:0 ze Sportingiem Lizbona w ostatnim meczu przy Łazienkowskiej pozwoliło awansować Legii do rozgrywek pucharowych Ligi Europy.

JA



Radość po zwycięskiej bramce Guilherme'a w meczu ze Sportingiem

Fot. materiały prasowe



Paszporty Polityki 2016

W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie po raz 24. wręczono nagrody za dokonania artystyczne. Laureatami 2016 zostali: Jan P. Matuszyński (film), Anna Smolar (teatr), Natalia Fiedorczyk-Cieślak (literatura), Daniel Rycharski (sztuki wizualne), Marzena Diakun (muzyka poważna), Wacław Zimpel (muzyka rozrywkowa) i Michał Staszewski (kultura cyfrowa). Paszporty Polityki to symboliczny dokument, otwierający artystom drogę do wielkiego świata. Nagrodę Kreatora Kultury – wręczaną najwybitniejszym polskim artystom – otrzymał Jan „Ptaszyn” Wróblewski. Galę prowadzili Grażyna Torbicka i Jerzy Baczyński.

JA

Fot. materiały prasowe

Najpiękniejsze SPA 2016

W Hotelu Belotto w Warszawie odbyła się uroczysta gala, podczas której poznaliśmy laureatów ósmej edycji konkursu „Najpiękniejsze SPA 2016”, organizowanego przez magazyn „Eden”. Wieczór poprowadzili Beata Sadowska i Jarosław Kret. Wśród wręczających nagrody najpiękniejszym obiektom spa znalazło się wiele gwiazd, którym bliski jest styl życia wellness. Byli to m.in.: Daria Widawska, Katarzyna Żak, Anita Sokołowska, Joanna Racewicz, Joanna Jabłczyńska, Lidia Popiel, Tomasz Ciachorowski i Rafał Maślak. Gwiazdą wieczoru była znakomita skrzypaczka Patrycja Piekutowska.

JA



Od lewej: Beata Sadowska i Jarosław Kret

Wielka moc Katowic

Katowice przywitały Nowy Rok z wielką mocą... przebojów. Na wysokiej na osiem pięter multimedialnej scenie, budowanej przez kilka tygodni, wystąpiło ponad stu wykonawców. Znane wszystkim hity z lat 80. i współczesne przeboje wywołały entuzjazm zgromadzonej przed Spodkiem publiczności. Prezentowana w Polsce transmisja z wydarzenia była najchętniej oglądanym sylwestrowym koncertem w grupie wiekowej 16–49 lat. Oznacza to, że noworoczny toast wznosił z Katowicami co trzeci oglądający telewizję Polak. Zaangażowanie kulturowe władz miasta dostrzegło dwa lata temu UNESCO, nadając mu tytuł „Miasta kreatywnego” w dziedzinie muzyki.

JA

Fot. materiały prasowe



Fot. Jarosław Adkowski



Piotr Małachowski

Noworoczne spotkanie olimpijczyków

Tradycyjnie w Centrum Olimpijskim PKOL odbyło się Noworoczne Spotkanie Rodziny Olimpijskiej. Gościem honorowym był prezydent Andrzej Duda z małżonką. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczył on wiceministra olimpijskiego w rzucie dyskiem Piotra Małachowskiego i jego trenera Witolda Suskiego. Spotkanie miało na celu sportowe podsumowanie ubiegłego roku, ale także podziękowanie sponsorom, bez których polski ruch olimpijski nie działałby tak prężnie. Anita Włodarczyk, Magdalena Fularczyk-Kozłowska, Natalia Madej, Krzysztof Kaliszewski i reprezentacja Polski w piłce ręcznej mężczyzn zostali laureatami Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej PKOL im. Piotra Nurowskiego.

JA

Nowy trener siatkarzy

Włoch Ferdinando De Giorgi został nowym selekcjonerem siatkarskiej reprezentacji Polski. Jako zawodnik rozegrał 330 spotkań w reprezentacji Włoch. Jest trzykrotnym mistrzem świata, mistrzem Europy i czterokrotnym zwycięzcą Ligi Światowej. Jako trener prowadził zespoły klubowe. Praca z kadrą Polski będzie jego debiutem w roli trenera reprezentacji. Kontrakt został podpisany na cztery lata. W tym roku najważniejszą imprezą będą rozgrywane w Polsce mistrzostwa Europy. Mecz otwarcia odbędzie się 24 sierpnia na PGE Narodowym. Rywalem będzie Serbia.

JA

Fot. Piotr Sumara/PZPS



Od lewej: Jacek Kasprzyk (prezes PZPS) i Ferdinando De Giorgi

Ewa Kasprzyk

Na życiowej

huśtawce

Jak na zodiakalnego Koziorożca przystało, z łatwością pnie się do celu, nawet tego z pozoru nieosiągalnego, bo pogoń za króliczkiem podnosi adrenalinę. Lubi wyzwania, nie zraża się porażkami – co więcej ceni je, bo jest wrogiem monotonii zarówno w życiu, jak i w zawodzie. Dlatego wybiera role z rozmysłem, dzieli pracę między teatr, film i serial, a w wolnym czasie uwielbia podróżować i czekać na to, co się wydarzy





Rozmawia MAŁGORZATA SZERFER-NIECHAJ

Do szkoły teatralnej zdawała pani cztery razy. Z czego wynikała tak duża determinacja – z wrodzonego uporu i siły charakteru czy przekonania, że zawód aktorki jest pani pisany?

– Jestem zodiakalnym Koziorożcem, a jak wiadomo, kozica cały czas ma pod górę i musi się wspinać do celu, ale za to dociera tam, gdzie inni nie dają rady. Wierzę, że gwiazdy mają wpływ na nasze życie i determinują nasze cechy charakteru. Poza tym myślę, że – przychodząc na świat – każdy z nas jest zaprogramowany do robienia czegoś. Ma zapisane w DNA, w czym się spełni. Myślę, że tak było z moim dążeniem do aktorstwa. Z perspektywy lat stwierdzam, że nie mogłabym

robić nic innego. Wybrany zawód daje mi potrzebną równowagę między chwilami zadowolenia i niezadowolenia. Cały czas balansuję na granicy – raz mam poczucie wielkiej radości z pracy, a za chwilę łapię doła. To fajne i zdrowe, bo jak by człowiek cały czas miał sukcesy, to by zwariował. Mój zawód pozwala mi żyć na wiecznej huśtawce, a w życiu najgorsza jest nuda. Aktor jest nieszczęśliwy z dwóch powodów – albo ma za dużo pracy, albo jej nie ma. Nadmiar propozycji wymusza decyzyjność i trafne wybory, które rzutują na przebieg kariery. W tym zawodzie naprawdę wiele zależy od nas samych, to my pewnie role przyjmujemy, a inne odrzucamy, a także

➔ budujemy postać w ten a nie inny sposób. W pewnym sensie sami skazujemy się na sukces albo porażkę, ale to tylko część prawdy, bo wiele zależy też od szczęścia albo od tego, kogo na swej drodze spotkamy. Lubię to uczucie stąpania po cienkim lodzie. Myślę, że – podchodząc do egzaminu wstępnego cztery razy – chciałam udowodnić temu, kto twierdził, że się nie nadaje do tego zawodu, iż nie ma racji.

Buntownicza z wyboru?

– To dziedziczne. Mam tak po ojcu, który wyrzucony drzwiami, wchodził oknem. Każdy ma w środku wewnętrzny głos, który podpowiada mu, co ma robić. Mnie mój kazał brnąć w aktorstwo do skutku. Podziwiam ludzi, którym od razu się wszystko udaje, ale sama walczę o swoje, jeśli wierzę, że coś ma sens, nawet jeśli na początku nie jest zbyt różowo. Zresztą sukces okupiony wysiłkiem lepiej smakuje. Coś, co łatwo przychodzi, nie daje takiej satysfakcji. Podobnie jest z relacjami damsko-męskimi – zbyt łatwo zdobyta kobieta nie cieszy tak jak niedostępna. Fajnie jest gonić króliczka, który wciąż ucieka i wymyka się z rąk. Mało tego, w zawodzie aktora więcej rzeczy wychodzi, kiedy jesteśmy nieszczęśliwi. Budowanie ról na tym, co się przeżyło, pogłębia graną postać.

Własne doświadczenia się przydają?

– Naturalnie. To przez nie przefiltrowujemy postać. Najlepiej, kiedy są negatywne. Te może nie bardzo pasują do komedii, ale w przypadku ról dramatycznych dają lepszą podbudowę. Kiedy Nardelli – młody aktor, który zginął tragicznie – grał u Hanuszkiewicza Kordiana, usłyszał, że powinien przespać się z kobietą, bo jest zbyt sztywny od pasa w dół. Doświadczenia erotyczne, macierzyństwo, żaloba – wszystko, czego dotykamy w swoim życiu, wzbogaca nas.

Miała pani szczęście do ról?

– Miałam szczęście do reżyserów. Jeszcze w szkole teatralnej grałam w dyplomie u Jerzego Trelia, u Jerzego Jarockiego, miałam zajęcia z Ewą Lasek – wybitną aktorką, która nie jest dziś popularna, ale kto kończył krakowską PWST, wie, że to legenda. Od razu po studiach dostałam szansę, by zagrać w filmie „Dziewczęta z Nowolipek” u Barbary Sass. Przez dwa lata na planie przeszłam prawdziwą szkołę i dowiedziałam się w praktyce, jak się buduje rolę. Później, gdy pracowałam w Teatrze Wybrzeże, też miałam do czynienia ze wspaniałymi reżyserami.

Skąd taki przeskok z południa na północ kraju?

– Do Gdyni trafiłam, bo chciałam zmienić powietrze. W Krakowie miałam dość halnego i spalin z Huty Lenina. Był słynny Teatr Stary, którym mogłam się zainteresować, ale czułam, że trzeba stamtąd uciekać.

Po więcej jodu.

– Po więcej jodu i nowe doświadczenia. W Gdyni spędziłam 16 lat, więc pobyt był rozwijający. Oczywiście do pewnego momentu (śmiej). Aktor nie może stać w miejscu, musi mieć paliwo do działań na odpowiednim poziomie: nowych partnerów, nowych reżyserów, nowe bodźce. Ja miałam to szczęście, że nawet pracując w Teatrze Wybrzeże, dużo grałam w filmach i jeździłam po Polsce. Roman Załuski odkrył we mnie talent komediowy do tego stopnia, że w pewnym momencie film wciągnął mnie na dobre.

Większym wyzwaniem jest praca w teatrze czy na planie?

– W teatrze jesteśmy praktycznie u siebie w domu. Mamy większą odpowiedzialność za rolę, ale też więcej swobody – możemy zagrać raz tak, innym razem inaczej, na ile pozwala nam kondycja. Pracownik banku kończy pracę i idzie do domu. Nawet jak jest zmęczony czy chory, jego stan nie ma większego wpływu na pracę, może jest wtedy bardziej opryskliwy wobec klientów. Aktor musi dać z siebie 100 proc., nikogo nie obchodzi, co akurat przeżywa, przez co przechodzi, sprawy prywatne pozostają poza sceną. Nie zawsze daje się 100 proc., bo ograniczeń organizmowi się nie przeskoczy, ale zawsze dąży się do maksimum. Jeśli teatr jest domem, to film jest hotelem, bo na planie jesteśmy gośćmi. Po nagraniach kończymy pracę i nie mamy wpływu na to, co zostanie z naszej roli. Dla mnie najlepsza jest różnorodność, jaką dają te rodzaje pracy. Jednak to teatr najlepiej weryfikuje umiejętności aktora. Rasowy aktor pragnie kontaktu z publicznością. To najlepszy, natchmiastowy sprawdzian jakości jego pracy. Śmiech, łzy, cisza na widowni mówią więcej niż jakakolwiek recenzja. Kontakt przez szklany ekran tego nie da, ale w ramach wspomnianej różnorodności ten rodzaj pracy też cenię.

Potrzuje pani poczucia bezpieczeństwa, jakie daje etat, czy wygodniej jest być freelancerem?

– W czasach szalejącego kursu franka byłabym trochę zaniepokojona, gdybym nie miała etatu (śmiej). Kiedy bardzo mi coś nie odpowiadało, składałam wypowiedzenie. Parę lat byłam bez etatu i wtedy trafiały się ciekawe propozycje. Nie do końca jest tak, że etat daje poczucie bezpieczeństwa, bo trochę przypomina niewolę. Z powodu etatu nie mogłam pojechać na festiwal w Wenecji po odbiór nagrody za główną rolę w „Bellissimie”, bo miałam akurat próbę generalną. Dziś jestem w stanie się dogadać i wziąć wolne, kiedy mi pasuje. Jestem częścią zespołu Teatru Kwadrat, w którym większość osób ma etat, ale jednocześnie gram na innych scenach, np. Polonii czy Kamienicy.

Sukces okupiony wysiłkiem lepiej smakuje. Coś, co łatwo przychodzi, nie daje takiej satysfakcji.

Podobnie jest z relacjami damsko-męskimi – zbyt łatwo zdobyta kobieta nie cieszy tak jak niedostępna. Fajnie jest gonić króliczka, który wciąż ucieka i wymyka się z rąk.

Miała pani okazję spróbować różnych ról, od komediowych po dramatyczne, grając matki, żony i kochanki, często kobiety po przejściach. Czy w jakimś emploi czuje się pani najlepiej?

– Najlepiej czuję się w rolach, które są dobrze napisane. To się od razu wyczuwa. Po tylu latach w zawodzie, czytając scenariusz, wiem, ile da się wycisnąć z roli i ile jest mięsa dla aktora. Dlatego często odmawiam udziału w filmach i sztukach, w których role są powtarzalne. Ciągłe szukam czegoś nowego. Mam głód arty-





stycznych wyzwań, które byłyby dla mnie czymś zupełnie nowym.

Jakich ról pani brakuje?

– Kostiumowych. Chciałabym dostać dobrą rolę historyczną pełnokrwistej bohaterki. Może carycy Katarzyny? Pociągają mnie też role w dramacie amerykańskim, na wzór „Kto się boi Virginii Woolf?” w której zagrałam w Teatrze Polonia. Tego typu literatury teraz potrzebuję. Marzy mi się repertuarowy powrót do korzeni, czyli ról, jakie grałam

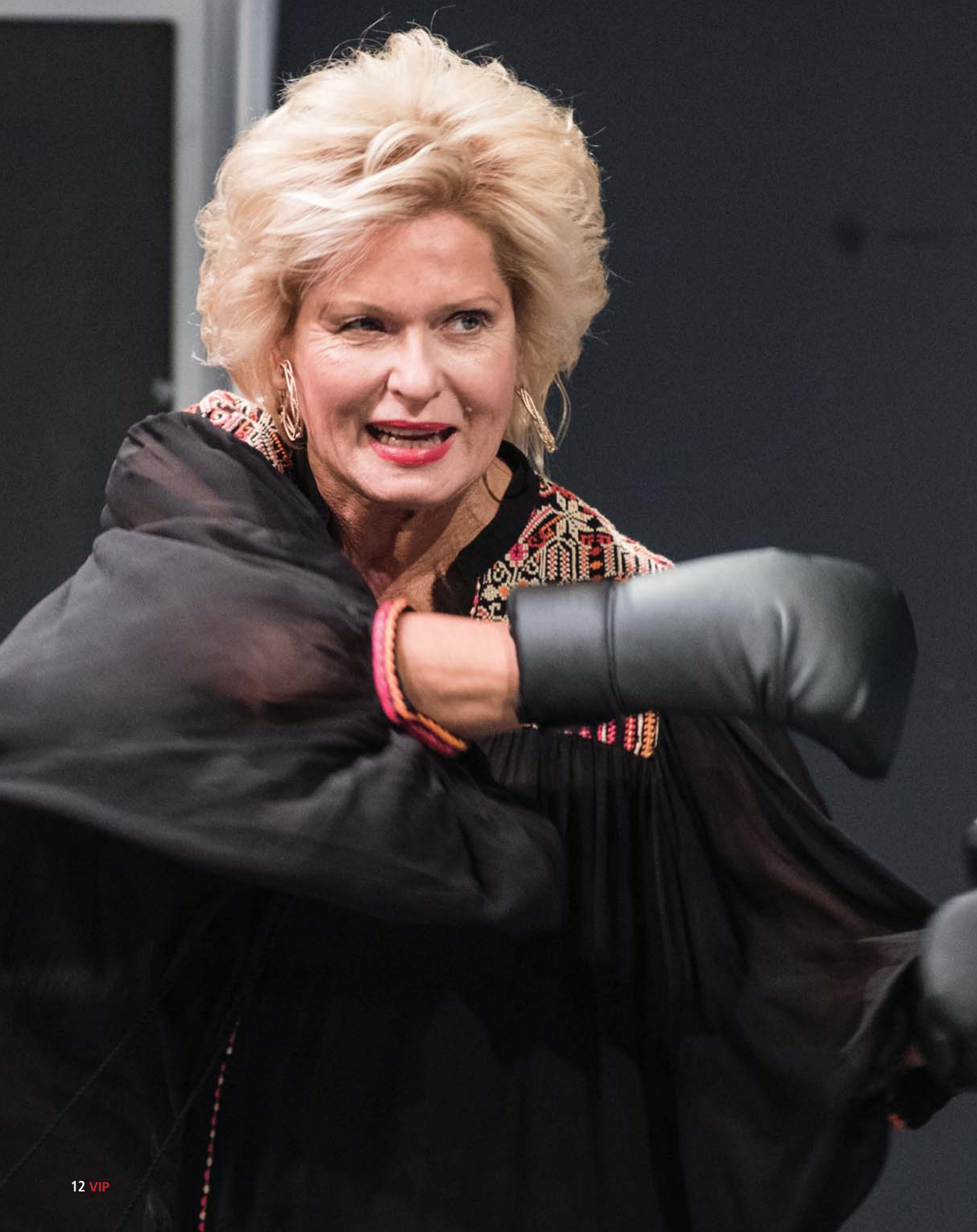
w Teatrze Wybrzeże. W Kwadracie jestem obsadzana w komediach, w których też nieźle się odnajduję, ale chciałabym dotknąć czegoś głębszego. Dlatego wróciłam do grania mojego monodramu „Patty Diphusa”.

Rola kostiumowa jest w sferze marzeń, czy ma pani coś na widoku?

– Mówiąc dosadnie, czekam na reżysera. Scenariusz został napisany dla mnie, byłam na kilku rozmowach, ale za wcześnie, by mówić o szczegółach.

Grała pani w monodramach: „Patty Diphusa”, „Marilyn i papież”, „Super Susan”. Trudno jest udźwignąć spektakl w pojedynkę?

– Monodram to dla aktora rzeźnia. Do tej formy trzeba dojrzeć i mieć sporo odwagi, żeby podjąć się takiej roli. Nie ma nic gorszego niż być jedynym przedmiotem zainteresowania widza przez czas trwania spektaklu. A widownia jest różna. Nieraz ludzie są skupieni na tekście, ale nie reagują zbyt wylewnie – wtedy można odnieść wrażenie, że gra się dla Węgrów, którzy nie



Uchodzę za osobę niepokorną i liberalną w sferze obyczajowej, zarówno przez pryzmat granicznych ról, jak i postępowania w życiu osobistym, ale w pewnym wieku, z moim bagażem doświadczeń mogę już chyba żyć jak chcę.

rozumieją przekazu. To zresztą nie dotyczy tylko monodramów. Zawsze zdarzają się tacy widzowie, ale zasadniczo nie spotkałam się z sytuacją, żebym była zażenowana reakcją publiczności. Zwykle od czuwam kontakt z widzami, naturalnie, niejako poza mną.

Trudno było się wcielić w ikony popkultury – Marilyn Monroe i Violetę Villas?

– Takie role trzeba przyjmować z odpowiednim podejściem, że nigdy nie będzie przełożenia 1:1. To wielkie niepowtarzalne artystki, do których możemy jedynie próbować się zbliżyć, zarówno w sferze wizerunku: poprzez charakteryzację, perukę, jak i starać się dotrzeć do psychiki pierwowzorów, po części imitując ich zachowania, ale jednocześnie zachowując w tym wszystkim siebie, mimo że widz oczekuje kopii i często może czuć się rozczarowany. Ważne, by w treści przemycić coś o życiu gwiazd, czego widzowie nie wiedzieli, inaczej ugryźć ich biografie. Myślę, że mnie się to udało, chociaż wizerunkowo tylko nawiązywałam do Marilyn czy Violety Villas, którą uwielbiam. Byłam nawet na jej pogrzebie, bo nie mogłam się pogodzić z tym, co działo się w Polsce w okresie PRL-u, kiedy nie było przyzwolenia na jej inność. Szary PRL zupełnie nie akceptował kolorowego ptaka, jakim była. Destrukcyjna osobowość i okoliczności życia, z jakimi przyszło się tej artystce zmierzyć, sprawiły, że niepowtarzalna postać z niewiarygodną skalą głosu skończyła tak a nie inaczej. Jej historia może być dla wielu gwiazd przestrożą, że ze słabą psychiką łatwo zrujnować sobie życie w show-biznesie, bo granica ludzkiej wytrzymałości jest cienka.

Jak jest być gwiazdą w polskich realiach?

– Nie wiem, bo nie jestem gwiazdą (śmiech). Oczywiście mam świadomość, że aktorów górnolotnie się tak nazywa na potrzeby pism, portali, i niech tak będzie. Traktuję to z przymrużeniem oka, ale godzę się na to. Znam dzisiejsze gwiazdy jednego serialu, które czują się nimi zupełnie bez powodu, co dla mnie jest niepojęte. Brak szacunku dla innych na planie, dla ekipy technicznej, której daje się odczuć swoją wyższość, nie mieści mi się w głowie. Zapewniam panią, że prawdziwe „gwiazdy” są skromnymi, pokornymi ludźmi, normalnymi w kontaktach.

Rozpoznawalność jest przyjemną stroną zawodu? Popularność była dla pani pociągająca, gdy myślała pani o aktorstwie?

– W tamtych czasach w ogóle się o tym nie myślało. Jeśli byłam zafascynowana okładkowymi gwiazdami, to pokroju Catherine Deneuve, Brigitte Bardot, Jean-Paul Belmondo. Jako dziewczynka miałam album z powklejanymi zdjęciami tych sław. Na pewno nie zdecydowałam się na ten za-

wód dlatego, że chciałam być gwiazdą. Z drugiej strony, nie można być hipokrytą, bo każdy aktor ma świadomość, jaki zawód wybiera i co się z tym wiąże. Dajemy ludziom płac i lzy poprzez sztukę, ale tak naprawdę dajemy im siebie, bo jesteśmy jednoosobową działalnością usługową. Kiedy wszyscy idą wieczorem się rozerwać po pracy, ja właśnie do niej idę, żeby owej rozrywki im dostarczyć. Spotykam się z miliardy dowodami popularności, ale są chwile, kiedy liczyłabym na intymność, a – niestety – jej nie mam, np. podczas urlopu, zakupów czy spotkania w restauracji. Jednak umówmy się – nie jestem księżniczką Dianą, żeby biegały za mną tłumy paparazzich. Owszem, doświadczyłam też przykrych sytuacji, zdjęć robionych wbrew mojej woli i późniejszych spekulacji, ale aktor nie jest zawodem anonimowym i incydenty, o których mówię, pogoń za sensacją są mniej miłe, ale jednak częścią mojego zawodu. Z drugiej strony, kiedy np. jem obiad z kolegą po fachu i ktoś prosi go o autograf, a mnie ignoruje, to jest to przykre. Popularność ma swoje dobre i złe strony, warto jednak zachować granice i pamiętać, że nie wszystko jest na sprzedaż.

Waleczność, która pomogła dostać się do szkoły teatralnej, po latach przydała się w zdobywaniu praw autorskich do sztuki Almodóvara. Sama rola gwiazdy porno również wymaga odwagi, podobnie jak „Marilyn i papież”. Lubi pani wysoko ustawiać sobie poprzeczkę?

– No pewnie, role wymagające dużej transformacji są najciekawsze. Są momenty przestoju, kiedy wolę nie robić nic, niż robić coś, co byłoby poniżej godności. Oczywiście czasem trudno odmówić, bo prosi ktoś znajomy, komu zależy, albo akurat jest się w dołku finansowym i argumentem są pieniądze, ale niejednokrotnie rezygnuję z roli, nawet jeśli ktoś chce mi dobrze zapłacić. Dobrze dokonywać takich wyborów, żeby granica wyobraźni była granicą naszych możliwości. Jeśli nie dopuszczamy do siebie myśli, że coś jest poza naszym zasięgiem i zaczynamy drażnić temat, to w końcu się udaje. Są okresy stagnacji, kiedy czuję się artystycznie wypalona i nie widzę dla siebie propozycji. Wtedy daję sobie czas i czekam, aż pojawi się ambitne wyzwanie. Tylko takie role zwykle same nie przychodzą. Wyjątkiem było „Kto się boi Virginii Woolf?”, kiedy z propozycją przyszedł do mnie Jacek Piondziałek, a zaakceptowałam moją osobę musiał sam autor sztuki Edward Albee. To był mój osobisty sukces i duża zawodowa satysfakcja.

Lubi pani prowokować?

– Tak. Lubię podrażnić, włożyć kij w mrowisko. Trochę ryzykuję, że prowokacja wymknie się spod kontroli i obróci



➤ się przeciwko mnie, ale na razie nie mam złych doświadczeń. Prawdą jest, że uchodzę za osobę niepokorną i liberalną w sferze obyczajowej, zarówno przez pryzmat granych ról, jak i postępowania w życiu osobistym, ale w pewnym wieku, z moim bagażem doświadczeń mogę już chyba żyć jak chcę.

Już w młodości była pani rogatą duszą, która lubi stawiać na swoich?

– Nigdy nie byłam grzeczną dziewczynką, lubiłam tupnąć nogą i poustawiać innych. Zawsze lubiłam dochodzić do wszystkiego sama i tak mi zostało, co nie jest wcale takie dobre – już zapomniałam, jak to jest przyjmować od kogoś pomoc. Chyba nie wierzę, że ktoś dopilnuje spraw tak dobrze jak ja, a lubię mieć pewność, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Aktorstwo daje mi dużą swobodę działania. Parę razy miałam pomysł, żeby zmienić zawód, ale mi się to nie udało.

Przez DNA?

– Chyba tak (śmiech). Cały czas mam poczucie, że lada chwila wystartuję, ale nie wiem jeszcze do czego. Bo co możemy powiedzieć o tym, co nas spotka, choćby jutro? Miałam kilka poważnych wypadków, dużo latam, więc jeśli nic mi się nie stało, to chyba jeszcze nie mój czas. Oczywiście myślę o nieuchronności śmierci, bo – niestety – nie wynaleziono cudownego środka na długowieczność ani leku na powstrzymanie upływu czasu, a chętnie bym skorzystała (śmiech). Kiedyś myślałam, że z każdą dziesiątką lat coś się kończy, teraz czuję, że coś się zaczyna. Patrzę na życie optymistycznie i staram się czerpać z niego jak najwięcej. Swego czasu wydawało mi się, że mogę robić inne rzeczy, np. oddać się podróżom, które uwielbiam, ale nie wyszło. Na szczęście jest to do pogodzenia z pracą i wkrótce szykuje mi się wyprawa statkiem na Malediwy i Karaiby.

Długie loty i trudy podróży nie zniechęcają do dalekich podróży?

– Ja to uwielbiam. Lotniska, przesiadki, czekanie na połączenia to dla mnie inny wymiar, kiedy wreszcie mam czas dla siebie. W podróży jestem zawieszona między tym, od czego uciekałam, a tym, co zastanę tam, dokąd zmierzam. Lubię ten stan. Im dłuższa podróż, tym lepiej.

To dość rzadkie upodobania.

– Jeśli to panią dziwi, to zaskoczę panią jeszcze bardziej: lubię też narkozę, bo wtedy mnie nie ma (śmiech). Oczywiście warto się wybudzić. Jeśli normą jest bać się narkozy, to jestem odchylona.

Lubi pani jeździć w sprawdzone miejsca, czy poznawać wciąż nowe?

– Wielokrotnie jeździłam z córką do Tajlandii na tajski boks, nawet kilka razy w ciągu roku, bo bardzo mi się to podobało.

Teraz obrałam inny kierunek, ale zwykle to dalekie podróże i najczęściej do Azji, która mnie fascynuje, odkąd ją odkryłam kilka lat temu. Wcześniej jeździłam po Europie, do Ameryki Północnej. Marzy mi się jeszcze Ameryka Południowa. Domek letniskowy to nie dla mnie, nie mogłabym jeździć co roku na działkę. All inclusive też jest dobre na parę dni, żeby zachłysnąć się spokojem i beczynnością, ale potem ciągnie mnie, żeby coś robić, i wynajduję sobie coraz to nowe aktywności, choćby ostatnio pływanie z delfinami.

Często bywa pani w rodzinnym Stargardzie?

– Ze wstydem muszę przyznać, że coraz rzadziej. Mam tam jeszcze brata i rodziców – niestety już tylko na cmentarzu. Staram się spotykać z rodziną i znajomymi przy okazji wyjazdów służbowych, bo wciąż mam sentyment do tego miejsca. Nie wypieram się pochodzenia, ale jestem trochę emigrantką – jeśli tam wracam, to jest to już bardziej podróż sentymentalna, bo nawet domu, w którym się wychowałam, już nie ma.

Jak zapisał się dom rodzinny w pani wspomnieniach?

– Pierwsze skojarzenie, jakie wywołuje, to dobroć i ciepło zaznane od rodziców i babci, dla których nie liczyło się nic oprócz dzieci i wspólnego domu. Może z perspektywy to idealizuję, ale wydaje mi się, że więzi w tamtych czasach były inne niż te, które łączą współczesne rodziny. Wiedzieliśmy, że mamy siebie, i wspieraliśmy się wzajemnie. Rodzina była siłą. Teraz trudno o taką. Dziś mamy rodziny patchworkowe, rozbite, żyjące na odległość – świat oddala ludzi od siebie. Zbyt dużo czasu pochłania praca i pomnażanie majątku, a kiedy już ludzie mają dużo pieniędzy, to sfera rodzinna i uczuciowa leży w gruzach i nie ma co zbierać. W domu wszystko robiliśmy razem, a dziś ludzie nie mają czasu, by zjeść wspólnie posiłek. Wiem, o czym mówię, bo sama tak żyję. Mam świadomość, że pewne rzeczy można było inaczej rozegrać, tak jak pewne role można było inaczej zagrać, ale czasu się nie cofnie. Już Szekspir głosił, że życie jest sceną, a świat teatrem. I tak odgrywamy te swoje role, raz lepiej, raz gorzej.

W styczniu obchodzi pani urodziny. Jakie życzenia są najbardziej trafione na obecnym etapie pani życia?

– Życzyłabym sobie, żebym zawsze umiała w sobie obudzić dużo miłości i żebym do końca pozostała optymistką. Chciałabym spotykać na swojej drodze fajnych, mądrych ludzi i wiedzieć, jak się uchronić przed złą energią. Trzeba sobie życzyć przede wszystkim szczęścia i szerokiej drogi, a w podróżach tyle startów, ile lądowań, co można rozumieć również metaforycznie. ■



EWA KASPRZYK

Aktorka, urodzona w 1957 r. w Stargardzie Szczecińskim. W 1983 r. ukończyła PWST w Krakowie. Zaraz po studiach zagrała ważną rolę w filmie Barbary Sass „Dziewczęta z Nowolipek”, a wkrótce w komediach Romana Załuskiego („Kogel-mogel”, „Komedia małżeńska”). Przez wiele lat była związana z Teatrem Wybrzeże w Gdańsku, a od 2000 r. jest etatową aktorką Teatru Kwadrat. Za rolę w filmie „Bellissima” zdobyła nagrody na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Wenecji i na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Gra w różnorodnym repertuarze, od dramatycznego po komediowy. Od samego Pedro Almodóvara zdobyła prawa do wystawienia monodramu „Patty Diphusa”, z którym po przerwie wraca na deski Kwadratu. Telewizjom znana m.in. z ról w serialach: „Magda M.”, „Na dobre i na złe”, „Złotopolscy”, „Blondynka”, „Przyjaciółki”. W 2015 r. z Janem Klimentem zajęła 4. miejsce w programie „Taniec z gwiazdami”.

Ola Trzaska

Prawdziwość

pozbawiona jest schematów

Myśląc o drugiej płycie, Ola Trzaska tworzyła w swojej głowie krzyżówkę, której trzon stanowiły hasła: naturalność, prawdziwość, nieoczywistość, bezkompromisowość, brak schematów. To wszystko „ubrała” w dźwięki instrumentów dętych i okrasiała pozbawionymi frazesów tekstami. Tak powstał „Amulet”

Rozmawia JUSTYNA FRANCIUK

Na pewno zawarte na płycie piosenki nie mają standardowej budowy zwrotka, refren, zwrotka, refren. Ich forma jest zachwiana, nieoczywista, dzięki czemu mamy – mam tu na myśli zarówno siebie, jak i muzyków – duże pole do zbudowania i rozwinięcia narracji muzycznej.

Spotykamy się z okazji wydanego właśnie drugiego pani autorskiego albumu „Amulet”. Pierwszy – „All Around” – przyjęto z dużym aplauzem, odniósł też sukces w postaci nominacji do nagrody Fryderyk 2015 w kategorii „jazzowy fonograficzny debiut roku”. Czy podróż, w jaką tym razem zabiera pani słuchaczy, to ten sam kierunek co w przypadku pierwszej płyty?

– Na pewno druga płyta wynika z pierwszej, która była kumulacją wielu rzeczy: energii, edukacji, rozwoju emocjonalnego. „All Around” spajała wszystkie te elementy, była jakby zlepkiem mojego życia i na tamtym jego etapie po prostu musiałam ją wydać. „Amulet” jest natomiast wynikiem tego wszystkiego, do czego doszło w moim życiu po pierwszej płycie. „All Around” jest zatem bazą, z której wyszłam, żeby stworzyć „Amulet” i przekroczyć kolejne granice.

O ile pierwsza płyta była bardziej melodyjna i odnaleźć się w niej mogli nie tylko entuzjaści jazzu, o tyle druga wymaga zdecydowanie więcej uwagi. Po raz kolejny postawiłam na emocje. Nie chciałam, żeby ktoś, słuchając „Amuletu”, powiedział: „To teraz będę siedział i analizował tekst” albo „Teraz będę przyglądał się strukturze harmonicznnej”. Nie chciałam zmaterializować tego materiału – nie miał on być czymś, co da się określić czy wyrysować, nie miał być czymś oczywistym.

W jednym z wywiadów powiedziała pani: „W jazzie fascynuje mnie brak schematów”. Które z nich łamię pani za pomocą „Amuletu”?

– Na pewno zawarte na płycie piosenki nie mają standardowej budowy zwrotka, refren, zwrotka, refren. Ich forma jest zachwiana, nieoczywista, dzięki czemu mamy – mam tu na myśli zarówno siebie, jak i muzyków – duże pole do zbudowania i rozwinięcia narracji muzycznej. To jeden z elementów zaskoczenia, który ma zapraszać do dalszej muzycznej podróży. Na przykład utwór „Horyzont” rozpoczyna się jako ballada, a jej koniec jest żywiołowy, zupełnie zróżnicowany, mógłby być odrębnym utworem.

Inny schemat, który złamałam, to świadoma rezygnacja z postprodukcji. Takie założenie towarzyszyło mi od początku, pod nie szukałam studia, które da mi taką techniczną możliwość. Chciałam, aby ten materiał był ekstremalnie prawdziwy – miał dać słuchaczowi do myślenia, pokazać mu, że muzyka jest grana przez żywych ludzi na prawdziwych instrumentach, a jej zadaniem jest tylko „przejście” kablem do nośnika i pozostanie na nim w nienaruszonej formie. Jeśli więc w którymś miejscu zachwiał mi się głos, słyhać to na płycie, bo nikt tego mechanicznie nie korygował. To samo dotyczy muzyków. Jeśli tzw. riff u instrumen-

talisty powiełał się wielokrotnie, to nie był grany tylko raz po to, by można go było przekleić w inne miejsce – muzyk grał go za każdym razem, bo w każdym fragmencie utworu inne było natężenie dawkowania emocji. Reasumując, wszystko zostało tak, jak utrwaliła to taśma.

To duża odwaga jak na dzisiejsze czasy, w których płytę nagrać może nawet ten, kto nie umie śpiewać.

– W pewnym sensie tak, bo rzadko kto decyduje się dziś na taką technikę pracy, natomiast to wyznacznik prawdy, o którą od początku mi chodziło, i czuję wewnętrzną potrzebę pochwalenia się tym. W tę płytę włożyłam naprawdę wszystko – i jeśli chodzi o kwestie emocjonalne, i materialne. Doszłam do wniosku, że jeśli ja wykładam serce na talerzu, to całość musi być autentyczna do granic możliwości. Idąc za ciosem, zdecydowałam, że całość zrobimy techniką analogową, nie ma więc na „Amulecie” przepuszczanych przez komputer instrumentów, sztuczek Auto-Tune, co w stu procentach dało audiofielelską jakość.

Czemu to dziś taka rzadkość?

– Bo muzyka stała się towarem, który ma być czysty, niezbyt wymagający, zapadający w ucho i przede wszystkim modny, a jeżeli taki jest, to automatycznie jest krótkotrwały. Ja idę w innym kierunku, chcę, aby moja muzyka była aktualna również za kilka lat, a nie przeminęła po pięciu minutach triumfu.

Czy śpiewanie po angielsku również było celem w tym wyborze?

– Tak, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że automatycznie odetnie to od materiału tę część słuchaczy, która lubi skupiać się wokół słowa, czy się z nim utożsamiać. O tym aspekcie płyty myślałam przez ostatnie trzy lata, bo wbrew pozorom nie jest to takie łatwe. Jednak finalnie uznałam, że płyta powstała z myślą o publiczności z całego świata, a głównym językiem porozumienia ma być warstwa muzyczna, czyli esencja jazzu na niej pozostała.

Ze słuchaczami rodzimymi chciałybym podzielić się następującą refleksją. Tendencją w utworach słowno-muzycznych jest punkt zaczepienia, coś, czym trafia się do słuchaczy. Jeśli kompozytor decyduje się na słowo, to warstwa muzyczna musi być trochę uboższa. Jeśli zaś uzna, że nośnikiem emocji będzie muzyka, wówczas tekst musi zejść na drugi plan. Do takich wniosków doszłam po przesłuchaniu wielu płyt różnych wykonawców. Ci z nich, którzy na piedestał postawili równocześnie muzykę i słowa, nie mieli żadnych szans na wzbudzenie w słuchaczu emocji, bo finalnie powstały chaos i niezrozumienie. Z tysiąca płyt może 2 proc. przesłuchanych nagrań to genialne, kom-

OLA TRZASKA

Wokalistka jazzowa, flecistka, autorka tekstów, kompozytorka, pedagog. Absolwentka Państwowego Liceum Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie oraz Studium Jazzowego im. Henryka Majewskiego PSJ Bednarska. Debiutowała w 2014 r. płytą „All Around”, którą nominowano do nagrody Fryderyk. W listopadzie 2016 r. ukazał się krążek „Amulet”, który sama stworzyła od przystawowej podszewki. Artystka współpracowała z Dorotą Miśkiewicz (płyta „Caminho”), zespołem Bisquit („Inny Smak”), Urszulą Dudziak, Andrzejem Jagodzińskim Trio, Ewą Bem. Dla tej ostatniej skomponowała utwór „Minuty” – znajduje się on na płycie „Albo Inaczej”. Jest dwukrotną finalistką konkursu Jazzu Tradycyjnego „Złota Tarka”, Novum Jazz Festival oraz Voicingers.

pletne dzieła, ale to są twory gigantów, zapisanymi złotą zgłoską w encyklopediach. **„Amulet” to doskonały przykład tego, że jak się chce, to można. Wielu czytelników będzie zapewne zdziwionych, że aby wydać płytę, mozołnie składała pani grosz do grosza i zaaranżowała akcję crowdfundingową. Czy dzisiejszy żywot artysty jazzowego jest rzeczywiście tak ciężki?**

– Łatwy nie jest. Można oczywiście iść do wytwórni z gotowym materiałem i próbować przekonać do niego pracujących tam ludzi, co proste nie jest. Wytwórnia to biznes, a ten musi na siebie zarabiać. Jej szefowie na dzień dobry spytają, czy to się sprzeda, czy jest zgodne z aktualnymi trendami, które są haczykami na słuchaczy. Ja to podejście rozumiem, ale nie widzę powodu, dla którego miałabym rezygnować ze swojej wizji i jakości artystycznej tylko dlatego, żeby coś miało się sprzedać, bo – niestety – bez pójścia na kompromis nie da się pogodzić interesów obu stron.

Fantastyczną zaletą crowdfundingu jest to, że ludzie mogą uczestniczyć w stworzeniu czegoś, w moim przypadku byli oni współwydawcami płyty. Dzięki temu wiem, że są tacy, którym zależy na mojej muzyce. Oni zaś wiedzą, że jestem niezależna, że mimo trudności chcę stworzyć coś prawdziwego, i mam wrażenie, że ostatecznie działa to na moją korzyść, bo osoby, które wrzuciły grosz do tego worka, z którego później czerpałam, uprawiają marketing szeptany. Finalnie akcja przyniosła rozgłos faktu powstawania płyty na skalę, której sama bym nie osiągnęła.

Pisze pani, komponuje i aranżuje. Która z tych aktywności sprawia pani najwięcej frajdy i dodaje skrzydeł?

– Najwięcej przyjemności dają mi chwile sam na sam z fortepianem, choć nie jest to główny instrument, na którym gram. Notabene obraziłam się na niego w trzeciej klasie szkoły podstawowej i trwałam w tym stanie do czasu, aż zaczęłam

pisać piosenki. Okazało się, że przy fortepianie to się po prostu dzieje bez specjalnego wysiłku z mojej strony i sprawia mi najwięcej frajdy.

Nawiązując do tytułu płyty, czy ma pani swój prywatny amulet, który wskazuje kierunek i pomaga dokonywać właściwych wyborów?

– Takim amuletem przy tworzeniu płyty był niewątpliwie mój syn, który – kiedy nagrywaliśmy jej warstwę muzyczną – miał się niebawem urodzić. To on był tym punktem, którego się trzymałam, kiedy pojawiały się przeciwności losu i trudne emocje. Cały czas miałam w pamięci, że to, co teraz robię, zostanie na zawsze, i moje dziecko za kilka czy kilkanaście lat nie może się tego wstydzić. Stąd właśnie pójście w stronę audiofielelską i dbanie o każdy szczegół tej płyty. Ostatnią piosenkę na płycie, zatytułowaną „Amulet”, pisałam i nagrywałam pod dyktando kopiącego w moim brzuchu Amka, więc to też symbol i potwierdzenie jego osoby jako mojego prywatnego amuletu.

Jest pani kompozytorką, wokalistką i flecistką z dorobkiem nie tylko dwóch płyt autorskich, lecz także chociażby współpracą z Urszulą Dudziak, Andrzejem Jagodzińskim, Dorotą Miśkiewicz, Ewą Bem, dla której skomponowała pani utwór „Minuty”. Brała też pani udział w projektach innych artystów. Czy oba te pola działania dają ten sam poziom satysfakcji?

– Ja lubię swoją pracę, więc nie ma dla mnie znaczenia, czy piszę dla siebie, czy dla innego artysty. Przyznam szczerze, że marzy mi się więcej takiej współpracy jak z Ewą Bem, która poprosiła mnie o skomponowanie utworu. Wiem, że mam wiele do zaproponowania, jeżeli więc ktoś nie jest zadowolony z kierunku, który obrałam, nie obrażam się – słucham uwag i przerabiam dany utwór według koncepcji artysty. To wielka satysfakcja, kiedy daję czemuś początek, a potem ktoś coś w tym zmienia i finalnie widzę piosenkę, która ma dwie „twarze”.

Danuta Stankiewicz

Żyjemy, póki mamy marzenia



O tym, że jest „kolorowym ptakiem”, nikogo przekonywać nie trzeba – wystarczy spojrzenie na jej włosy i strój, i wszystko staje się jasne. Jest artystką niepokorną i nietuzinkową, choć – jak sama mówi – wielkiej kariery nie zrobiła. A może to tylko kokieteria, bo jej dokonania świadczą o czymś zupełnie innym? Mimo upływu czasu, działa z werwą, bo nadal ma zbyt dużo planów i marzeń, aby odejść na emeryturę

Rozmawia LIDIA DRABAREK

Znamy się od wielu lat, nasze spotkanie proponuję więc rozpocząć od wspomnień. Czy jak większość artystów od zawsze wiedziałaś, że chcesz śpiewać?

– Jak większość dzieci brałam udział w różnego rodzaju prezentacjach artystycznych, m.in. recytowałam wierszyki i śpiewałam piosenki na rodzinnych uroczystościach. Robiłam to spontanicznie i cieszyły mnie pierwsze brawa. Kiedy w wieku siedmiu lat zapytano mnie, kim będę, jak dorosnę, z przekonaniem odpowiedziałam: „Zostanę piosenkarką”. Byłam konsekwentna w stosunku do tego dziecięcego zapewnienia, po szkole podstawowej skończyłam średnią szkołę muzyczną, a następnie konserwatorium im. Fryderyka Chopina. Potem rozpoczęłam studia podyplomowe na Uniwersytecie

Warszawskim, na wydziale menadżerskim dla twórców związanych ze sceną. Bardzo ważnym etapem mojej dalszej nauki było półroczne stypendium artystyczne we Francji. Tam nie tylko rozszerzyłam wiedzę teoretyczną, lecz także rozpoczęłam naukę praktyczną realizacji na scenie. Śpiewanie dla publiczności, ponad 10 tys. koncertów, występy w ponad 30 krajach świata – to są moje największe doświadczenia przez 37 lat pracy artystycznej.

Zawód, który wykonujesz, jest bardzo trudny i stresujący. Przynosi blaski, ale przecież nie brakuje w nim też trudnych momentów. Trema towarzyszy każdemu wyjściu na scenę, choć kiedy słyhać i widać pozytywny czy wręcz euforyczny odbiór publiczności, daje to ogromną radość. Powiedz nam, co jest najtrudniejsze w tej

pracy? Czy kiedykolwiek miałaś wątpliwości co do właściwości wyboru drogi zawodowej?

– To chyba typowe w tej pracy, że kiedy jest się w blasku reflektorów i fleszy, kiedy ma się te swoje wymarzone pięć minut, nic nie jest w stanie tego przyćmić i nic nie martwi. Człowiek nie zastanawia się, czy zawsze już tak będzie – liczy się tylko tu i teraz. Miałam już kilka swoich wspaniałych „pięć minut”, lata temu zrozumiałam jednak, że trzeba umiejętnie rozkładać te szczególnie dobre momenty. Nie wolno zbyt mocno zachłystywać się sukcesami, choć jest to trudne, jak wszystko dobrze się układa, a chcemy jeszcze więcej. Zawsze miałam – jak to się ładnie mówi – dobrze poukładane w głowie, zawdzięczam to m.in. moim mądrym rodzicom. Mam świadomość, że jest wielu

DANUTA STANKIEWICZ

Piosenkarka, absolwentka Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina, Wydziału Piosenkarskiego Państwowej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina i Podyplomowych Studiów Menedżerskich dla Twórców i Artystów na Uniwersytecie Warszawskim. Stypendystka Ministerstwa Kultury oraz rządu francuskiego. Ma na koncie 15 albumów solowych, ponad 10 tys. koncertów oraz udział w programach radiowych i telewizyjnych. Koncertowała w ponad 30 krajach świata. Zrealizowała spektakl muzyczny „Blask” w reż. Leny Szurmiej, zagrała główną rolę w filmie „Divide amorem” w reż. Radosława Piwowarskiego. Za swoją działalność odznaczona wieloma nagrodami, m.in. Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



➔ większych ode mnie artystów. Zawsze miałam dużo dystansu do siebie oraz pokory i starałam się być sobą, wykonując każdy utwór najlepiej, jak potrafię. Zaangażowanie w takiej pracy to podstawa.

Nie zrobiłam tzw. wielkiej kariery, ale spełniam się w tym zawodzie i mam dowody życzliwości oraz szacunku do tego, co robię. Do 99 proc. tego, co osiągnęłam, brakuje mi tylko 1 proc. łutu szczęścia, i choć jestem już dojrzałą osobą, cały czas intensywnie pracuję i wierzę, że dojdę do tych 100 proc.

Pan Bóg dał mi talent i mogę prezentować go na scenie, śpiewam i żyję z pasją. Niezależnie od miejsca i warunków, w jakich występuję, zawsze mam jeden cel – jak najlepiej wykonać swoje zadanie i zrobić tak, aby publiczność przyjęła to z zadowoleniem.

Widziałam cię wiele razy na scenie, również podczas bali oraz eventów, i muszę przyznać, że masz świetny kontakt z publicznością. Charakteryzuje cię uśmiech i wielki spokój, masz ładny tembr głosu, którym czarujesz już w trakcie zapowiedzi kolejnych piosenek. To wielka sztuka, bo przecież znamy wielu artystów, którzy świetnie śpiewają, ale mają problem w komunikacji z widownią.

– To tylko pozorny spokój, ale najważniejsze, że widz czy słuchacz o tym nie wie. Mam jak najlepiej zagrać rolę, niezależnie od okoliczności. Mój stres nie ma prawa ujawnić się na scenie, jest tylko wewnątrz mnie. Praktyka zawodowa to przede wszystkim duża ilość występów na żywo, ona jest najlepszą szkołą dla każdego artysty.

Miałas – jak sama to nazywasz – kilka ważnych etapów w życiu. Uporządkuj je dla nas.

– Pierwszy etap to dzieciństwo. Dobry dom, kochający i szanujący się rodziców, od których zagnałam wiele dobrego i którzy dali mi poczucie bezpieczeństwa. To procentuje w przyszłości. Dzięki temu nie mam kompleksów i zahamowań do realizacji swoich marzeń. Dostałam nie tylko miłość, lecz także wielką siłę i wiarę, że dam sobie radę nawet w najtrudniejszych sytuacjach w życiu. Potem był etap szkoły, studiów, kiedy chciałam się jak najwięcej nauczyć, bo wiedziałam, że to przyniesie mi korzyści w przyszłości. Wreszcie kolejny etap, jak w życiu każdego człowieka, kiedy zakłada rodzinę – dla mnie był on też bardzo ważny. Oczywiście w takim zawodzie jak mój nie było łatwo, bardzo jednak starałam się pogodzić pracę z obowiązkami żony i matki. Moje małżeństwo nie przetrwało, ale mam wspaniałe dzieci, które zrekompensowały mi ten fakt. Rozwiodłam się, kiedy wchodziły w dojrzałość. Mam z nimi świetny kontakt, dały mi spełnienie. Z dumą widzę, że pozostawiam w nich część siebie, a na świecie są moje dwie wnuczki – z tego powodu rozpiera mnie duma. Nie chcę, żeby to zabrzmiało banalnie, ale jestem wielką szczęściarą.

I ten obecny etap, kiedy jesteś w świetnej kondycji fizycznej i psychicznej. Oglądając zdjęcia, ułożone chronologicznie według tych dotychczasowych etapów życia, można ci pogratulować, bo niewiele się zmieniłaś. Gładka twarz, dobra sylwetka – to jakieś babskie czary?

– Dziękuję za komplement. Staram się żyć higienicznie, nie objadam się, nie piję alkoholu, nie palę, a jeżeli chodzi o cerę, nie korzystałam z żadnych inwazyjnych zabiegów i używam tylko polskich kosmetyków.

Obecny etap to czas egoizmu, ale w pozytywnych barwach. Wreszcie mam dużo czasu, żeby skupić się tylko na sobie. Wielu ludzi z mojego pokolenia myśli o artystycznej emeryturze, a ja jeszcze szerzej chcę rozwinąć skrzydła. Miałam już różne wyzwania artystyczne, m.in. śpiewanie piosenek ludycznych, jak to sama nazwałam, czyli disco polo. Ten gatunek muzyki – choć obśmiewany i mocno krytykowany – nadal jest bardzo popularny. Szczerze mówiąc, w najlepszych salach balowych i weselnych oraz na scenach w róż-



nych zakątkach naszego kraju porywa do tańca i śpiewania ludzi w różnym wieku. Nie wstydę się tego etapu, choć wielu znanych ludzi, którzy również uprawiali ten gatunek, wymazało ten epizod z pamięci. To nieszczerze. Nie rozumiem tego. Ten rodzaj muzyki nie budzi agresji, jest nieskomplikowany, utwory mają łatwe słowa i szybko wpadają w ucho. Takie są fakty.

Tu i teraz Danuty Stankiewicz to...

– Na przełomie stycznia i lutego ukaże się moja płyta z przebojami lat 60. Będą na niej piosenki, które łączą pokolenia, które pochodzą z najlepszych moim zdaniem czasów dla polskiego rynku muzycznego. Tytuł krążka – „Nie płacz, kiedy odjadę” – to jednocześnie wielki przebój autorstwa Wandy Sieradzkiej, utwór polsko-włoski, który pięknie wykonywał Włoch Marino Marini. Ta wzruszająca piosenka jest zrozumiała dla młodych i starych, to utwór ponadczasowy, który od lat wykonuję na koncertach. Na płycie znajdą się też inne hity z tamtych lat: „Rudy rydz”, „Pamiętasz była jesień”, „Serduszko puka”, „Gdy mi ciebie zabraknie”. Mam nadzieję, że płyta sprawi wielką radość wielu sympatykom twórczości lat 60. Na wiosnę planuję też kolejne poważne wyzwanie – przygotowanie i nagranie piosenek wyjątkowej Ewy Demarczyk.

Na zakończenie spotkania opowiedz nam proszę, jakie miałaś święta i jak zakończył się dla ciebie 2016 r.

– Na święta pojechałam do Izraela. Miałam przyjemność zaśpiewać polskie kolędy w kościele katolickim w Jaffie, a następnego dnia z okazji Święta Chanuki zaśpiewałam w synagodze Beit Davide. To było wielkie i wzruszające przeżycie.

Masz tyle ambitnych planów oraz energii do ich realizacji, więc – korzystając z okazji – w imieniu własnym i czytelników życzę ci ich realizacji i wszelkiej pomyślności w nowym roku.

– Dziękując za życzenia, chcę przekazać czytelnikom „VIP-a” wiele uśmiechu i życzyć im zdrowia oraz wewnętrznego spokoju. Pamiętajcie państwo o mądrym przesłaniu, które – mogę powiedzieć – już dawno stało się moim życiowym mottem: „Żyjemy, póki mamy marzenia”. ■



Fot. Marta Ankersztejn (2), archiwum Teatru Polskiego w Warszawie (1), Krzysztof Bieliński (2), Robert Jaworski (1), Michał Pasich (1)



MA PANI DO CZYNNIENIA Z CZŁOWIEKIEM SZCZĘŚLIWYM

Andrzej Seweryn

Niezwykłe pracowity, utalentowany, odważny. Świetnie ubrany, szarmancki, posługujący się piękną polszczyzną. Mówi, że praca jest jego misją, a aktorzy – grając na scenie – służą nie tylko sobie samemu, lecz także czemuś większemu od nich

Rozmawia ANNA ARWANITI

Jako aktor, reżyser, pedagog i dyrektor jest pan niesamowicie zapracowanym człowiekiem. Przed wyznaczeniem daty spotkania zajrzał pan do kalendarza i przeczytał swoje plany na najbliższe trzy tygodnie. Ich ilość była imponująca. Podziwiam pana.

– A nie uważa pani, że to przerażające?

Niech będzie imponujące i przerażające, ale pan kocha to, co robi, inaczej nie dałby pan rady.

– No tak, ale większość tych rzeczy, które robię, to moje obowiązki.

I tak pan powiedział: „Żyję, pracuję, wypełniam obowiązki. Mam poczucie, że muszę je wypełniać”.

– Mam też przekonanie, że warto to robić. Inaczej zająłbym się czymś innym. Dla przykładu, jakże mogę odmówić spotkania z młodym człowiekiem, który w poszukiwaniu pracy przychodzi do Teatru Polskiego, jak mogę nie pójść na szkolenie wojskowe, jak mogę nie zagrać dzisiaj w „Końcówce” Becketta? Po rozmowie z panią muszę pojechać do Garwolina, gdzie obejrzę przedstawienie molierowskie przygotowane przez Zespół „Rękawiczka” w ramach Festiwalu Teatrów Młodzieżowych, potem muszę przyjechać znowu do teatru i zagrać wieczorny spektakl. To wszystko jest ważne i mnie raduje. Ma pani do czynienia z człowiekiem szczęśliwym.

A chwila wytchnienia?

– Mogę się zdrzemnąć w samochodzie.

To przejdźmy do kina. Za kreację w „Ostatniej rodzinie” obsypano pana krajowymi i zagranicznymi nagrodami. ➔

➔ Dla mnie to film niezwykły – nie pamiętam sytuacji, kiedy po skończonym seansie ludzie pozostali na swoich miejscach, w sali zaś panowała cisza, a tak właśnie było po projekcji, na której byłam.

– Ten film zachęca do rozmów. Scenariusz świetny, rytmicznie skomponowany, doskonale dialogi i wspaniały młody reżyser Jan P. Matuszyński. Cała ta fascynująca historia Beksińskich pozwoliła miśternie zbudować nasze role. Wokół malarza, syna, żony tworzą się różne legendy, jest wiele nieporozumień. Ich uczucia były manifestowane w sposób niekonwencjonalny, co mogło niektórych szokować. Oni mieli odwagę pozostawać sobą, mieli odwagę poszukiwać. Postaci w filmie są ukazane na przestrzeni 30 lat. Z jednej strony stwarza to dodatkowe trudności aktorowi, z drugiej daje możliwość rozwinięcia jego aktorskiego kunsztu. W tym filmie zmieniano mi fryzurę, dodawano brzuch, a ja używałem tych środków, które są potrzebne do ról również w teatrze. Gdy ma się do pokazania 30 lat życia kogoś takiego jak Beksiński, to jest to dla aktora fascynujące.

Nie musi być pan skromny. Przytoczę kilka recenzji: „jego aktorstwo jest totalne”, „Seweryn tworzy najwybitniejszą rolę w karierze”, „gwiazdor Seweryn zdołał uchwycić zewnętrzny geniusz Zdzisława, bez słów ukazując jednak także czający się wewnątrz mrok”, „Seweryn nie zagrał Zdzisława, on przeistoczył się w swoją postać, jak zwykł to robić Robert de Niro w swoich największych kreacjach aktorskich”. To tylko skrawek pochwał.

– W przypadku tego filmu wszystko dobrze się układało. Kiedy przeczytałem scenariusz, wiedziałem, że będzie to emocjonująca, fascynująca praca.

Teatr to miejsce szczególne, gdzie wszystko dzieje się tu i teraz, gdzie widzowie mogą spotkać się z aktorami twarzą w twarz, a między nimi tworzy się szczególna więź. Kino nie stwarza takiego „związku”. Jak pan czuje te różnice?

– To prawda. Teatr jest królową sztuk i wszystkie ich rodzaje jemu służą: balet, muzyka, literatura, śpiew, malarstwo, rzeźba. Do tego dochodzi element decydujący, a mianowicie kontakt aktora z widzem. Tego nie zastąpi nikt i nic. Kino nie stwarza takiej możliwości, to relacja między widzem a ekranem. Aktorzy są na kliszy, jest tzw. techniczna granica. Nigdzie indziej nie ma takiej relacji międzyludzkiej jak w teatrze. Jestem bardzo szczęśliwy, grając w kinie, ale nie wyobrażam sobie życia bez teatru. W nim się dojrzewa. Angielscy aktorzy, którzy mieli sukcesy kinowe, np. Anthony Hopkins, Jeremi Irons, przeszli przez scenę teatralną. Meryl Streep, wielka aktorka filmowa, współpracowała z Andrzejem Wajdą właśnie w teatrze. Teatr to inny, fascynujący świat i nie zastąpią go kino, internet czy gry komputerowe.

Jaką rolę pełni obecnie teatr, czy dalej jest miejscem dialogu?

– Teatr od tysięcy lat jest tym miejscem. Wielu twórców teatralnych tego właśnie pragnie. Nie ma budowania przyszłości bez dialogu. Dla jednych dialog polega na tym, że opowiadają o sobie i swoich pro-





WIERZE W SIŁĘ SŁOWA, W MAGIĘ I SIŁĘ TEATRU, KTÓRY MÓWI O WAŻNYCH PROBLEMACH W SPOSÓB ZROZUMIAŁY DLA WIDZÓW. TRZEBA PO PROSTU REALIZOWAĆ NAJLEPSZĄ LITERATURĘ. TAKĄ, KTÓRA MA WARTOŚĆ, WZBOGACA NASZE ŻYCIE, POZWALA NA KONTAKT WIDZA Z AKTOREM.

blemach, biorąc do ręki np. tekst Słowackiego. Inni próbują dialogować ze współczesnością poprzez teksty klasyczne. Jeszcze inni uważają, że przede wszystkim trzeba służyć autorowi. Każdy wybiera takie metody pracy, jakie uważa za słuszne.

Teatr to tajemnicza dziedzina sztuki.

– W teatrze dwa plus dwa nie równa się cztery. Warto pracować na najważniejszych, stworzonych przez ludzkość tekstach, zaczynając od Greków, a kończąc na 2016 r. w Polsce i na świecie. Służąc tym tekstom, dialogujemy ze współczesnością. Ja mam mniej do powiedzenia niż Szekspir, w związku z tym nie będę się silił i nie będę używał jego tekstów do opisanego mojego świata. Podobnie jest z Mroźkiem, Moliereem czy Mickiewiczem, z wieloma innymi znakomitymi twórcami. Teatr jest żywym organizmem. Według ostatnich badań ponad 80 proc. Polaków w ubiegłym roku nie było ani razu w teatrze.

Jest pan dyrektorem jednej z warszawskich scen, jaki ma pan pomysł, żeby ten stan zmienić?

– Prosty. Teatr musi jeździć po Polsce. Musi się „otworzyć” na widzów z miejscowościach, w których nie ma tego typu instytucji. To nasza misja.

Wyjść ze swego budynku, być bliżej człowieka...

– Mówię o tym od lat. Nie zawsze mi się udaje znaleźć środki finansowe, ale kiedy mój organizator jest przekonany, że chce mieć teatr służący województwu mazowieckiemu, to wszystko staje się łatwiejsze. Wysiłkiem obu stron możemy „wyjść” z teatrem do widza. Trzeba przestać straszyć ludzi, że teatr to sztuka „ciężka”, nudna, niezrozumiała.

Styczeń to szczególnie miesiąc w historii Teatru Polskiego – w 1913 r. wystawiono w nim pierwsze przedstawienie – był to „Irydion” w reżyserii Arnolda Szyfmana, w 2011 r. objął pan fotel dyrektora. Jak w styczniu 2017 r. wyglądają plany na nowy sezon teatralny?





Czy uważa pani, że pesymiści są źli i niczego nie robią? A Beksiński? Był dogłębnym pesymistą. Czy z tego wynikała destrukcja? Tworzył do ostatnich godzin swojego życia. Nie jestem ani głuchy, ani ślepy, ale w przyszłość patrzę z nadzieją. Trzeba robić swoje, jak mówił Wojtek Młynarski.

➔ – 104. rocznicę powstania teatru świętujemy premierą trzech jednoaktówek Sławomira Mrożka. Z tej okazji w sposób szczególny chcemy też uczcić pamięć tego znakomitego twórcy – za zgodą wdowy po nim i władz wojewódzkich naszej kameralnej scenie zostanie nadane imię tego wielkiego dramaturga.

Teatr jest żywym organizmem. Myślenie o jego przyszłości, o zachowaniu ciągłości pracy artystycznej, o współpracy z wybitnymi aktorami i reżyserami, o doborze wartościowego repertuaru składa się na moje myślenie o Teatrze Polskim. Jestem organizatorem tej wielkiej, złożonej maszyny i pragnę robić to, jak najlepiej potrafię.

Czy klasyka Szekspira, Moliere, Dostojewskiego sprawdza się w naszym skomputeryzowanym świecie?

– Oczywiście! Wprawdzie język tych wielkich twórców nie zawsze jest łatwy, ale uważam, że warto nauczyć się słuchać tych tekstów i rozumieć je. Nie warto natomiast wszystkiego na siłę uwspółcześniać. Trudno dać Antygonie laptop i telefon komórkowy, ale kiedy słuchamy np. tekstu „Antygony”, to wcale nie musimy odnosić go do czasów zamierzchłych sprzed 2500 lat. W tych głębokich myślach można znaleźć bardzo wiele dla siebie

Termin „sztuka klasyczna” jest mało precyzyjny...

– Nie ma jednej definicji sztuki klasycznej, tak jak nie ma jednego sposobu

przedstawiania tekstów klasycznych na scenie. Dlaczego np. nie możemy grać Fredry w smokingach? Proszę bardzo, ale chcę zrozumieć, dlaczego tak się dzieje i czy nie jest to sprzeczne z intencjami autora. Teatr Petera Brooka jest na wskroś współczesny. Nie oznacza to jednak, że aktorzy stale biegają tam w dzinsach, z telefonami komórkowymi i kokainą w saszetkach. W Teatrze Polskim wystawiamy „Cyda” Corneille’a w przekładzie Morsztyna, za pomocą którego przenosimy się w XVII w. To trudny tekst, ale francuski reżyser Ivan Alexandre nadał spektaklowi nowych barw. Wybór repertuaru jest trudny. Jako dyrektor staram się zachować pewien umiar między tendencją super intelektualną a tendencją ludowego jarmarku i schlebiana wyłącznie widzowi. Wierzę w siłę słowa, w magię i siłę teatru, który mówi o ważnych problemach w sposób zrozumiały dla widzów. Trzeba po prostu realizować najlepszą literaturę. Taką, która ma wartość, wzbogaca nasze życie, pozwala na kontakt widza z aktorem. Pozwala stworzyć szczególne miejsce, do którego ludzie będą chcieli chodzić.

Coraz częściej chcemy się przenieść, chociaż na dwie godziny, w inny świat, odetchnąć innym powietrzem...

– Ludzie przychodzą do teatru nie po to, żeby widzieć obrazki z telewizji czy Internetu. Chcą się wzbogacić, wzruszyć, przeżyć coś ważnego.

To teraz pora na Paryż – 33 lata spędzone we Francji to smat czasu. Jak pan wspomina tamten okres? Czego nauczyły pana praca z Peterem Brookiem i granie w „Mahabharacie” – antycznym hinduskim eposie, który należy do najważniejszych dzieł literatury światowej? Praca w tym wielkim widowisku to chyba duże przeżycie.

– Na pewno tak. To fundamentalny tekst, na którym opiera się kultura, tradycja i religia Indii. Epos opowiada historię zwaśnionych rodów. To uniwersalna opowieść o losie, honorze, szacunku. Pracowaliśmy nad nim trzy lata, najpierw zrobiliśmy wersję francuską, potem angielską. To było bardzo ciekawe zetknięcie się z hinduizmem, z najróżnorodniejszymi kulturami, religiami, z ludźmi różnych kolorów skóry. Myślę, że nie wykorzystałem tego czasu tak, jak mogłem.

Wtedy właśnie powiedział pan, że ten czas to była lekcja pokory.

– Praca z Brookiem była dla mnie na pewno lekcją pokory. Nauczyłem się korzystać z doświadczenia innych ludzi. Patrzenia na świat innymi oczami. Jak człowiek dojrze, to zdaje sobie sprawę z tego, że jego wiedza tak naprawdę staje się względna.

Powiedział pan, że zawód aktora jest pełen sprzeczności. Czyż nie jest to rzecz tajemnicza, ➔



➔ że publiczność na widok jednego aktora milknie, a wejścia innego nie zauważa?

– Tego nie da się zdefiniować. To właśnie ta tajemnica.

Czy aktorstwo to stopienie w jedność ciała, emocji i intelektu?

– Wie pani, to dotyczy w gruncie rzeczy człowieka. My zbyt często oddzielamy życie emocjonalne od intelektu, od ciała. A to przecież zawsze funkcjonuje razem, jednocześnie.

Czy praca jest dla pana swego rodzaju religią?

– Wierzę w sens tego, co robię, praca jest więc dla mnie swego rodzaju religią. „Chwila za chwilą – a na to, by życie się z tego złożyło, życie całe się czeka”. Lubi pan Beckett?

– Każdego wieczoru, kiedy gramy „Końcówkę”, a robimy to już szósty rok, odczuwam wielką radość. Wiem, że będę wypowiadał ważne słowa ze sceny. Reak-

Od wielu lat rozmawiam z dziennikarzami i oni mnie często pytają o moją przeszłość. Lubię do niej wracać, zastanawiać się nad swoim życiem. Po to właśnie, żeby budować przyszłość. Mam przed sobą, daj Boże, parę lat życia, parę rzeczy do zrobienia, parę sztuk do zagrania i wiele radości do przeżycia.

cje widzów dowodzą, że nasza praca jest doceniana. Czego więcej potrzeba, skoro jest wielka literatura, sens tego, co się robi, i uznanie?

Na urodziny zrobił pan sobie prezent, grając w spektaklu „Krapp i dwie inne jednoaktówki” Becketta. To poruszające studium rozrachunku z samym sobą. Jego bohater nagrywał w każde swoje urodziny podsumowanie minionego roku. Dlaczego akurat ten spektakl pan wybrał?

– To zwykły zbieg okoliczności. Premiera miała miejsce trzy tygodnie przed moimi urodzinami. Krapp co roku wraca do swojej przeszłości. Ja nie musiałem czekać na 70. urodziny, żeby podsumowywać swoje życie. Robię to codziennie.

Czy dotarł pan do miejsca, w którym należy zacząć podsumowywać?

– Mam to szczęście, że od wielu lat rozmawiam z dziennikarzami i oni mnie często pytają o moją przeszłość. Lubię do

niej wracać, zastanawiać się nad swoim życiem. Po to właśnie, żeby budować przyszłość. Mam przed sobą, daj Boże, parę lat życia, parę rzeczy do zrobienia, parę sztuk do zagrania i wiele radości do przeżycia.

Jest pan laureatem wielu prestiżowych nagród zagranicznych i polskich. Ma pan swoją gwiazdę w Alei Gwiazd w Łodzi.

– Należę do tych, którzy bardzo poważnie traktują wszelkie nagrody. Sam byłem w różnych gremiach, które przyznawały wyróżnienia, ale nigdy nie zdarzyło mi się przyznać nagrody filmowi czy osobie, które by na to, moim zdaniem, nie zasługiwały. Zakładam więc, że wszystkie nagrody, które Pan Bóg mi jakoś dał poprzez swoich przedstawicieli na ziemi, były zasłużone. Sprawiają mi one wiele radości.

A co pana drażni w tym współczesnym świecie?

– Agresja, hipokryzja.

Nie boi się pan?

– Nie, ja się boję tylko Pana Boga, tak jak mówił prezydent Wałęsa. Codziennie teraz widzę agresję. Wszędzie, na każdym kroku. To okropne.

A co pan sądzi o nowym prezydencie Ameryki? Donald Trump to jednak zaskoczenie.

– Zobaczymy. Wierzę w demokrację amerykańską, wierzę w rozsądek Sądu Najwyższego, Kongresu, Senatu, dowódców armii. Czas pokaże.

Powiedział pan: „Nie trzeba się zamartwiać, a że jest paru kretynów na świecie, zawsze tak było. Oni się tylko czasami chowali”. Czy jest pan optymistą?

– Trzeba robić swoje, jak mówił Wojtek Młynarski. A czy jestem optymistą? Uśmiecham się często, jestem szczęśliwym mężem, mam wspaniałe dzieci, wnuki. Kocham to, co robię. A świat nigdy nie był idealny. Czasami jest gorzej, innym razem lepiej. Czy uważa pani, że pesymiści są źli i niczego nie robią? A Beksiński? Był do głębnym pesymistą. Czy z tego wynikała destrukcja? Tworzył do ostatnich godzin swojego życia. Nie jestem ani głuchy, ani ślepy, ale w przyszłość patrzę z nadzieją. Mam jeszcze tyle do zrobienia.

„Jestem opętany przez pracę” – to pana słowa. Czy ma pan chwile refleksji, że może warto zwolnić?

– Praca twórcza to nie tortura.

Widziałam pana przed spektaklem w Radziejowicach. Siedział pan na łacie i patrzył w niebo.

– Naprawdę tak było?

Tak było, chciałam nawet podejść, zagadać, ale pomyślałam, nie będę przeszkadzać.

– Dziękuję, że pani nie podeszła.

Czyli jest pan człowiekiem szczęśliwym?

– Proszę pomyśleć, jakie to fantastyczne, że możemy żyć na tej ziemi, cieszyć się życiem, słońcem, naturą. Tak, jestem szczęśliwy, mimo że wiele widzę i dużo rozumiem. ■

ANDRZEJ SEWERYN

Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów, a także reżyser, wykładowca, dyrektor teatru. Po ukończeniu w 1968 r. warszawskiej PWST rozpoczął pracę w Teatrze Ateneum, z którym był związany aż do roku 1980. Stworzył tam wiele znakomitych kreacji, m.in. Jakuba w „Głupim Jakubie” Tadeusza Rittnera, Szatowa w „Biesach” Dostojewskiego, czy tytułową rolę w „Don Carlosie” Schillera. Popularność zdobył dzięki doskonałym rolom w spektaklach Teatru Telewizji. Wystąpił w około stu filmach i serialach.

Przełomową w jego karierze filmowej była rola Maksa Bauma w „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy. Niezapomniane role stworzył też w: „Dyrygencie”, „Prymasie Tysiąclecia”, „Bez znieczulenia”, „Człowieku z żelaza”, „Różyczce” i w najnowszym filmie „Ostatnia rodzina”. Po sukcesach w kraju wyjechał do Francji, gdzie w krótkim czasie stał się jednym z najbardziej poważanych artystów. Jest dziś członkiem honorowym słynnej La Comédie-Française, trzecim w historii tego teatru aktorem obcego pochodzenia, któremu zaproponowano angaż w tym prestiżowym zespole, współtworzył także teatr Petera Brooka, z którym pracował nad „Mahabharatą”. Wystąpił w wielu filmach francuskich, m.in. w nagrodzonych Oscarem „Indochinach” i w „Genealogii zbrodni” (w obu partnerowała mu Catherine Deneuve, a w drugim grał również Michel Piccoli). Był wykładowcą w Szkole Teatralnej w Lyonie i w paryskim Conservatoire. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród i odznaczeń (francuska Legia Honorowa i Oficerski Order Odrodzenia Polski). W 1998 r. odznaczono go gwiazdą w Alei Gwiazd w Łodzi, a kilka lat później w Międzyzdrojach. Od roku 2011 jest dyrektorem Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana w Warszawie.

Lucyna MALEC

Czekając na Oscara

Dziewczęce marzenia o aktorstwie zaprowadziły ją do szkoły teatralnej, a zrządenie losu – na scenę Teatru Kwadrat, gdzie zadomowiła się na dobre. Kolejne role dały zasmakować różnych odston zawodu, a przyjaciele po fachu pokazali, że praca może być przyjemnością. Teraz zostało zdobyć Oscara, o którym marzy każdy aktor, a jeśli się nie uda, to dalej stawać się wciąż kimś innym, dając z siebie wszystko, by czerpać z grania radość i nie zawieść widzów

Rozmawia MAŁGORZATA SZERFER-NIECHAJ

Spotykamy się w Kwadrat Bistro Art – po sąsiedzku z teatrem, który nie jest chyba jedynie miejscem pracy, bo jest pani z nim związana od początku kariery. Można powiedzieć, że to drugi dom?

– Absolutnie nie jest to przesadzone. Bywają momenty, szczególnie w okresie przedpremierowym, że w teatrze spędzam więcej czasu niż w domu. Do Teatru Kwadrat trafiłam od razu po szkole teatralnej i spędziłam w nim całe życie zawodowe, przynajmniej jeśli mowa o etacie, bo na szczęście występuję nie tylko na scenie. Razem z Kwadratem parę razy zmieniałam adres – graliśmy na Czackiego, potem tułaliśmy się z występami gościnnymi, a od ponad roku cieszymy się

wyremontowaną siedzibą przy Marszałkowskiej, gdzie praca jest czystą przyjemnością. Przez ścianę mamy fajne bistro, a w środku piękne foyer, przytulne garderoby i uroczą przejściówkę, z której nie chce się wychodzić na scenę (śmiech).

Miejsce to jednak nie wszystko, a skoro tak głęboko zapuściła pani korzenie w Kwadracie – co nie jest częste w zawodzie aktora – to musi być dobrze. To kwestia ludzi, repertuaru, stabilizacji?

– Wszystko to ma znaczenie. Od czasu, kiedy stawiałam pierwsze kroki w zawodzie, teatr bardzo się zmienił, powstało wiele scen impresaryjnych, prywatnych. Teatr etatowy daje mi poczucie bezpieczeństwa – nawet jeśli jest ono złudne – i przynależności do miejsca,

które jest dla mnie czymś więcej niż miejscem pracy. W Kwadracie panuje fantastyczna atmosfera, nie spotykam się tu z kolegami z pracy, ale z przyjaciółmi. Do tego stopnia, że nawet na wakacje jeździmy razem. Dzięki temu do pracy chodzę z przyjemnością, co nie znaczy, że zawsze jest wesoło, miło i rozrywkowo. Na próbach wcale nie ma luźnej atmosfery – jest skupienie na zadaniu, które prowadzi do spięć, a niektórzy nawet twierdzą, że nie ma premiery bez awantury. Jednak w gronie przyjaciół wymiana zdań to nic złego. Prze-





cież nie trzeba się kłócić ani obrażać, można się natomiast twórczo spierać – w końcu chodzi o jak najlepszy efekt wspólnej pracy, a w teatrze jak na boisku – wszyscy gramy do jednej bramki. Praca w teatrze jest zespołowa. Oczywiście każdy z nas jest indywidualnością, ale wszystkie osobowości muszą się w końcu spotkać. Wtedy teatr ma sens.

Ma pani szczęście do reżyserów i obsady? Trafia pani na role stworzone dla siebie?

– Nie narzekam na propozycje obsadowe, bo gram ciekawe, różnorodne role,

które dają mi szansę poznać wiele odsłon aktorstwa. Właśnie osiągnęłam taki wiek, w którym aktorka jeszcze jakoś wygląda, ale już nie jest młoda i nie zagra podlotka. Zaczął się dla mnie etap ról charakterystycznych, czego przykładem może być najnowsza sztuka z moim udziałem – „Czego nie widać”. Jestem podekscytowana i ciekawa, co przyniesie ten rozdział kariery.

Od razu po studiach zależało pani, żeby dostać angaż w Kwadracie, czy zdecydował przypadek?

– To było prawdziwe zrzęczenie losu. Studia skończyłam w 1989 r., w roku wyborów i przemian, kiedy w kraju nadzieja mieszała się z biedą i nikt nie wiedział, co będzie dalej, jak zmieni się sytuacja. W poszukiwaniach pracy cały mój rok spotykał się w teatrach z odmowami i argumentem, że sytuacja jest zbyt niepewna. Byliśmy odsyłani z kwitkiem, dyrektorzy rozkładali ręce. Czasy były tak upolitycznione, że mało kto myślał o kulturze, która w momencie przemian nie była priorytetem. Kiedy zjawiłam się na rozmowę do

➔ Teatru Kwadrat, przyjął mnie ówczesny dyrektor Edmund Karwański – bardzo miło, ale jednocześnie nie dając mi większych nadziei. Jednak już następnego dnia zadzwonił do szkoły teatralnej, żebym przyszła. W awaryjnej sytuacji zostałam poproszona o szybkie zastępstwo etatowej aktorki i już zostałam. Dziś zastanawiam się, kiedy te 27 lat minęło.

W komediowym repertuarze czuje się pani najlepiej, czy role dramatyczne są równie kuszące?

– Myślę, że dla aktora największym darem jest różnorodność obsadowa. Cieszę się, że mam okazję grać różne role, od komediowych po dramatyczne. Właśnie ta różnorodność jest w moim zawodzie najcudowniejsza. Aktor ma przygotowanie, żeby zagrać wszystko. Jeśli jest dobry, odnajdzie się w każdym gatunku. Ja miałam to szczęście, że grałam w bajkach, próbowałam sił w dubbingu, od lat występuję na żywo przed publicznością, ale również w serialu. Komedie jest na tyle trudnym gatunkiem, że opanowanie jej jest sztuką, ale miałam się od kogo uczyć, żeby wspomnieć przede wszystkim Janka Kobuszewskiego, ale także moich nieżyjących już nieodżałowanych kolegów Jurka Turka i Andrzeja Kopiczyńskiego. Staram się nie myśleć, który gatunek jest najtrudniejszy do zagrania. Aktorstwo traktuję zadaniowo i każdą rolę staram się zagrać prawdziwie, pamiętając, że scena to nie miejsce na wygłupy.

Czas studiów to dobra szkoła zawodu, czy prawdziwa nauka zaczyna się na scenie?

– Fantastycznie wspominam te cztery lata szkoły teatralnej. Nie był to łatwy okres, wyrwana z domu rodzinnego, mieszkałam w słynnej „Dziekance” – miejscu, które atmosferą było inne akademiki na głowę. To był prawdziwy kocioł artystycznych zapędów i aspiracji, gdzie każdy na swój sposób udawał, że już na pierwszym roku jest wielką gwiazdą. Potem wraz ze świadomością, że wiele zależy od ciężkiej pracy, a jeszcze więcej od trafu i szczęścia, ten zapał trochę opada. Jednak wiedza, że na sukces składa się wiele rzeczy, przychodzi z czasem, a na początku poczucie dostania się do elity jest bezcenne i bardzo rozbudza nadzieje. Inna sprawa, że pierwszorocznicy szybko dostają po głowie, ale nawet fuksowanie, które można porównać do fali w wojsku, wspominam z dużym sentymentem. Fuksował nas rok Andrzej Łapickiego, na którym studiował m.in. Piotrek Gąsowski. Starsi koledzy naprawdę miło nas przyjęli. W czasach, kiedy w sklepach nie było, kupili w Pe-weksie pomarańcze, szampana, przynieśli orzechy. Czuliśmy się, jakbyśmy opływali w luksusy, wyobrażaliśmy sobie, że to przedsmak tego, co na nas czeka. Potem bywało różnie, ale i tak okres studiów

wspominam jako cudowny czas. Z perspektywy myślę sobie, że może za bardzo udzielałam się towarzysko, zamiast bardziej przyłożyć się do nauki, ale z drugiej strony coś trzeba mieć od życia, a kiedy się bawić, jeśli nie na studiach, kiedy jesteśmy młodzi? Na naukę nigdy nie jest za późno.

Co szczególnie zapamiętała pani z tego, co stawali się przekazała kandydatom na aktorów wykładowcy PWSiT?

– Miałam wspaniałych profesorów, wśród których były m.in. Ryszarda Hanin i Aleksandra Ślaska. Najważniejszą nauką, jaką zapamiętałam, było to, że zawód aktora niesie ze sobą ogromną odpowiedzialność i jest dla ludzi zdyscyplinowanych. Powtarzano nam, że jeżeli aktor nie pojawia się w teatrze, to nie żyje. Co wieczór czeka na nas na widowni kilkaset osób, których nie możemy zawieść.

Po latach trema nadal ścisła za gardło?

– Trema cały czas mi towarzyszy, ale się zmienia, nie wiem czy na lepsze. W różnych momentach przyjmuje różne nasilenie, może to zależy od mojego przygotowania? Z trema nigdy nic nie wiadomo, czasem dopada na chwilę i odpuszcza, a innym razem paraliżuje na dobre. Najgorsze, że nie mamy na to wpływu.

Etat nie jest zawodowym ograniczeniem?

– Nigdy tego tak nie traktowałam. Nawet praca na etacie daje aktorowi swobodę wyboru. Jestem też w bardzo komfortowej sytuacji, bo nasz dyrektor pozwala nam grać w filmach, serialach, więc mam duże możliwości zawodowe. Teatr jest tylko częścią mojej pracy.

Któraś z dotychczasowych ról jest dla pani najważniejsza?

– Na początku mojej kariery Marcin Sławiński reżyserował przedstawienie „Zbrodnie serca” – to cudowna sztuka Beth Henley, zekranizowana z udziałem Sissy Spacek, Diane Keaton i Jessiki Lange. Zagrałam w tej historii trzech sióstr z Ewą Wencel i Magdą Wołłejko – nie dość, że bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, to jeszcze wzięłam udział w fantastycznym spektaklu, który do dziś wspominam z sentymentem. Niestety już nie mogę w nim zagrać, bo to sztuka o młodych dziewczynach, ale chętnie bym ją obejrzała w innym wykonaniu.

W teatrze pracuje pani już ponad 25 lat, ale długi staż ma pani też w serialu „Na Wspólnej”. Relacje z ekipą są równie dobre jak za kulisami Kwadratu?

– To zupełnie inny rodzaj pracy – ekipa jest na planie codziennie, wykonując ciężką robotę, a aktorzy nie są aż tak eksploatowani – bywają kilka razy w miesiącu, kiedy nagrywają swoje sceny, więc kontakty są ograniczone. Niemniej za każdym razem jadę na plan z radością i cieszę się

MOŻE TO BANAL, ALE OD DZIECKA CHCIAŁAM BYĆ AKTORKĄ I NIĄ JESTEM. À PROPOS MARZEŃ O AKTORSTWIE, PAMIĘTAM, JAK PROF. HALINA ŚWIDERSKA PRÓBOWAŁA NAS ZNIECHĘĆ DO ZAWODU, MÓWIĄC: „I PO CO WYŚCIE, DZIECI, TU PRZYSZLI? PRZECIEŻ JEST TYLE ZAWODÓW NA „A”. A TO KRAWCOWA, A TO FRYZJERKA . . .” (ŚMIECH). JA POZOSTAŁAM NIEZRAŻONA I WIERNA WYBRANEMU JUŻ PRZED LATY „A”.

na te spotkania z moimi kolegami, a to najlepsze, co może być, gdy chodzi się z chęcią do pracy. Mam to szczęście, że gdziekolwiek gram, trafiam na życzliwych ludzi, z którymi dobrze się dogaduję i miło spędzam czas. Poza tym cieszy mnie rola Danuty Zimińskiej, bo w jej życiu dzieją się bardzo ciekawe rzeczy, zwłaszcza teraz, ale nic nie mogę zdradzić. Wątek mojej bohaterki pokazuje, jak różnorodne i zaskakujące jest życie – odzwierciedla to, co przeżywamy na co dzień.

To właśnie filmowi i serialowi bohaterowie przynoszą aktorom popularność. Lubi pani tę stronę zawodu, czy rozpoznawalność bywa męcząca?

– Wydaje mi się, że tak jak każdy sportowiec, który jedzie na Olimpiadę, żeby zdobyć medal, aktorki już na początku kariery widzą oczyma wyobraźni Oscary. Potem one się oddalają, ale jak pokazuje historia „Idy”, nie tak znowu daleko. Cały czas jest więc nadzieja, że nie są one nieosiągalne. Jestem zdania, że myślenie, sprowadzające się do stwierdzenia, że jesteśmy w stanie zawojować świat, jest jak najbardziej właściwe. W każdej sztuce chcę zagrać jak najlepiej, chcę wypaść wspaniale i zostać zauważona. A popularność? Jest przyjemna, a niejednokrotnie wręcz korzystna, bo na co dzień spotykam się z dużą dozą sympatii, a przy okazji dzięki rozpoznawalności udało mi się parę rzeczy załatwić. Mam świadomość, że często jest mi łatwiej, niż gdybym była osobą anonimową – to duży plus, nawet jeśli pomoc jest udzielana przez przyzmat Danki Zimińskiej.

Aktorstwo jest spełnieniem marzeń?

– Tak. Może to banal, ale od dziecka chciałam być aktorką i nią jestem. À propos marzeń o aktorstwie, pamiętam, jak prof. Halina Świdorska próbowała nas



LUCYNA MALEC

Aktorka, urodzona w 1966 r. w Białymostku. Absolwentka PWST w Warszawie (rocznik'89). Od czasu ukończenia studiów pracuje w Teatrze Kwadrat. Na ekranie debiutowała rolą w serialu „W labiryncie”. Partnerowała Grzegorzowi Wasowskiemu i Sławomirowi Szczęśniakowi w programie telewizyjnym „KOC – Komiczny Odcinek Cykliczny” oraz tworzyła wraz z nimi zespół T-Raperzy znad Wisły. Popularność przyniosła jej rola w serialu „Na Wspólnej”. Występuje też w „Przyjaciółkach”, „Hotelu 52”, „Czasie honoru”, „Bulionerach”. Oprócz pracy w teatrze i na ekranie używa głosu w dubbingu filmów animowanych – była m.in. Betty w „Flinstonach” i kanarkiem Tweetym.



➔ zniechęcić do zawodu, mówiąc: „I po co wyście, dzieci, tu przyszli? Przecież jest tyle zawodów na „a”. A to krawcowa, a to fryzjerka...” (śmiech). Ja pozostałam niezrażona i wierna wybranemu już przed laty „a”. Tym bardziej że na egzaminie wstępnym coś jednak we mnie zobaczyli, chociaż – patrząc na obecne wymagania wobec kandydatów do szkoły teatralnej – myślę, że dziś bym się nie dostała. Przykre, że z mojego roku tylko kilka osób pracuje dziś w zawodzie.

Powiedziała pani, że teraz zaczął się okres ról charakterystycznych. Lubi pani przemianę fizyczną związaną z aktorstwem?

– Bardzo. Oczywiście najfajniej jest, gdy wcielenie wymaga całkowitej metamorfozy – w sferze cielesnej i psychologicznej, ale możliwość częstej zmiany wizerunku na potrzeby różnych ról bardzo mi odpowiada. Już w dzieciństwie lubiłam się przebierać, a teraz mam to na co dzień. Peruki, kostiumy, charakteryzacja to dla mnie niezwykle pociągająca część zawodu i spełnienie dziewczęcych pragnień. Przez kilka lat występowałam w autorskim programie telewizyjnym „Komiczny Odcinek Cykliczny” Grzegorza Wasowskiego i Sławomira Szczęśniaka, w którym odgrywałam mnóstwo ról. W ciągu trzech dni nagrań mieliśmy do zagrania 8–9 postaci. Wyobraża sobie pani, jaka to frajda? A co najważniejsze, moim zadaniem jest nie tyle przebrać się nie do poznania, ale stać się kimś innym na potrzeby roli.

Jeśli więc mogę się bezkarnie przebierać, świetnie się przy tym bawić i jeszcze mi za to płacą, czy może być lepsza praca?

Co jest największą siłą uprawianego zawodu?

– Ludzie. Na swej zawodowej ścieżce spotkałam mnóstwo wspaniałych osób – twórczych, dowcipnych, mądrych i życzliwych. To nie tylko aktorzy, ale ludzie, którzy odpowiadają za nasz wizerunek, scenografię – słowem artyści, których pamiętam z Dziekanki. W tym kotle sztuki są ludzie, którzy naprawdę się lubią. Naturalnie czasem się kłócimy, ale zwykle to portale plotkarskie kreują sensacje, żeby było o czym pisać. Tak naprawdę jesteśmy środowiskiem ludzi otwartych i tolerancyjnych, którzy mają za sobą wiele postaci, a to wiele uczy. Każda rola jest nowym, cennym doświadczeniem, swego rodzaju kolejnym życiem, które nas ubogaca.

Trudno jest stać się kimś innym na zwołanie?

– Przed premierą często można zobaczyć, jak idę ulicą i gadam do siebie pod nosem. Na szczęście w dzisiejszych czasach można pomyśleć, że rozmawiam przez telefon ze słuchawką w uchu. Prawda jest taka, że ćwiczę rolę. Często po którymś z kolei powtórzeniu tekstu odkrywam coś zupełnie nowego o postaci, którą gram, i sama jestem tym zaskoczona. Dlatego ta praca – mimo pewnej powtarzalności – nigdy mi się nie nudzi.

Jakie ma pani marzenia na tym etapie kariery?

– Uwielbiam role kostiumowe, a niewiele miałam okazji, żeby je grać, więc moje

zawodowe marzenia idą w tym kierunku. Występując w „Studzie dwóch panów”, byłam w swoim żywiole – nie dość, że rola kostiumowa, to jeszcze grałam kobietę przebraną za faceta. Teraz w „Ciotce Karola” gram tytułową postać w pięknym kostiumie i sprawia mi to dużo przyjemności. Na studiach miałam fantastyczną prof. Wandę Szczukę, która wykladała przedmiot formy i style, a poza szkołą teatralną była m.in. konsultantką Romana Polańskiego przy filmie „Piraci”. Uwielbiałam jej zajęcia, które dotyczyły savoir vivre’u, ale w dużej mierze w ujęciu historycznym. Były niezwykle ciekawe, a przy tym przydatne, żeby znać realia epoki, wiedzieć, jakie kostiumy noszono w danym okresie, umieć w nich chodzić, siadać, trzymać postawę. Szpilki, gorset, kapelusz wymagają na ciele szereg reguł – noszenie stroju zobowiązuje do określonych zachowań. Niestety w dzisiejszych czasach brakuje pewnych reguł obyczajowych, nastąpiło poluzowanie norm, a szkoda, bo etykieta powinna obowiązywać.

Wracając do zawodu, łatwiej jest pracować na żywo, czy przed kamerą, mając możliwość powtórek?

– Jak mówi tytuł sztuki, w której debiutowałam u boku Andrzeja Kopiczyńskiego i Pawła Wawrzeckiego, wszystko jest względne. Może teatr jest dla aktora bezpieczniejszy? W serialu jest podobnie, bo to, co mamy do zagrania, jest na ekranie, natomiast nad materiałem filmowym

aktor nie ma kontroli – nigdy nie wie, jaki fragment jego pracy trafi na ekrany po ostatecznym montażu. Władzę nad rolą ma reżyser, a aktor – chcąc nie chcąc – musi się oddać w jego ręce. Na scenie i w serialu prowadzimy rolę od początku do końca i tylko od nas zależy, co pokażemy widzowi. Z kolei na żywo żadna rola nie jest zagrana zawsze tak samo. W zawod aktora wpisana jest nieprzewidywalność. Cieszę się, że miałam okazję spróbować pracy w teatrze, w serialu, w filmie – mimo że takich ról miałam niewiele, w dubbingu, w radiu, a nawet na estradzie. Mało tego, odkąd w Internecie ktoś napisał w moim biografii „aktorka, piosenkarka”, jestem też piosenkarką – niestety tylko w teorii (śmiech).

Wszystko przed panią.

– Piosenkarką już raczej nie zostanę, ale chciałabym wszystkie role grać śpiewając.

Aktorzy coraz częściej nagrywają własne płyty. Pani o tym nie myśli?

– Nie, ja jestem na etapie dostawiania płyt od kolegów po fachu. Ostatnio zostałam posiadaczką pięknej płyty Pawła Domagały i równie pięknego albumu z koleżkami w wykonaniu Stasi Celińskiej. Kuszące jest połączenie mojego zawodu z pracą piosenkarki czy pisarki, ale na razie pozostanę przy roli słuchacza i czytelnika.

Udział w programie typu „Taniec z gwiazdami”, „Jak oni śpiewają”, „Twoja twarz brzmi znajomo” byłby dla pani interesujący?

– Bardzo lubię te programy, szczególnie „Taniec z gwiazdami”, w którym śledzę wprost niebywałe postępy moich kolegów. Przemiana, jaką przechodzą, jest dla mnie fascynująca, ale sama nie podobałabym temu zadaniu – ze względu na obowiązki domowe i zobowiązania zawodowe, ale też z racji wieku. Przyплыły adrenaliny mógłby mnie przyprawić o zawał. Takie programy są dobre dla młodych.

Jak najchętniej pani wypoczywa?

– Czy ja w ogóle wypoczywam? (śmiech). Bardzo miłym prezentem był voucher do spa od kolegów z teatru, którzy w tym roku urządzili mi na 50. urodziny surprise party. Niestety już dwa razy przekładałam termin i do tej pory nie było mi dane z niego skorzystać, ale myślę, że w styczniu uda mi się wygospodarować trzy dni, żeby wyjechać, bo to cudowne miejsce pod Bielsko-Białą, a ponieważ stamtąd pochodzę, to połączę relaks w spa z nadrabianiem towarzyskich zaległości. To będzie wymarzony i zasłużony wypoczynek. Latem najchętniej spędzam czas nad morzem – niedługo zakupię bilety i będę żyła wakacjami.

A na co dzień? Książka, film, aktywny wypoczynek?



– Wszystko po trochu, na ile czas pozwoli. Ostatnio miałam nieco więcej czasu dla siebie, więc pochodziłam na basen i obejrzałam „Wołyń”. To bardzo głęboki film, a przy tym doskonale wyważony. Jest zrobiony tak, że się na nim nie płacze, ale kiedy wychodzi się z kina, fala emocji długo nie pozostawia widza obojętnym. To obraz, o którym się myśli i który się przeżywa długo po zakończeniu. Wojtek Smarzowski tak mądrze to zrealizował, że nie ma w tym filmie miejsca na nienawiść do kogokolwiek. Myślę, że łatwo byłoby zrobić z tej historii wyciskacz łez, po obejrzeniu którego ma się ochotę pomordować wszystkich wkoło, ale to zupełnie nie ten przypadek. Dobrze, że w przypadku tego filmu udało się uniknąć okliwkości, choć filmy, na których się wzruszamy, też są potrzebne.

W święta zwykle jest więcej czasu dla siebie i bliskich. Spędza pani ten czas rodzinnie czy wyjazdowo?

– Od lat spędzam święta tradycyjnie – z choinką, opłatkiem i tymi samymi potrawami, z karpim i kutią na czele. W Wi-

gilię w ogóle nie przeszkadza mi to samo co roku menu.

Przygotowując potrawy, jest pani w swoim żywiole?

– Zupełnie nie. Kuchnia nigdy nie była moją mocną stroną. Na usprawiedliwienie powtarzam sobie, że nie po to zostałam aktorką, żeby siedzieć w garach. Murarz buduje domy, krawiec szyje ubrania... Wiem, że są aktorki, które doskonale odnajdują się w pracach domowych i z pasją realizują się w kuchni. Ja nie. Gotuję, bo muszę, czasami nawet chcę, ale przy okazji świąt robię sobie wolne od kulinariów, bo wiem, że inni zrobią to lepiej, zwłaszcza że mam kochane przyjaciółki, które zawsze pieką mi najpyszniejsze ciasta świata.

Jakie prezenty sprawiają pani najwięcej radości?

– Jestem o tyle niekłopotliwą osobą, że wołę dawać, niż dostawać, więc cieszę mnie cokolwiek. Przyjemniej jest obmyślać podarki dla innych. Sama nigdy nie mam specjalnych życzeń, zdaję się na kreatywność św. Mikołaja. ■

Etyka popłaca

Finałowa gala XIX edycji programu Przedsiębiorstwo Fair Play zgromadziła przedstawicieli biznesu z różnych sektorów gospodarki. Nagrodzeni zostali ci, którzy na co dzień reprezentują najbardziej etyczną postawę

Fot. archiwum organizatora (4)

W ostatnich latach tematyka związana ze społeczną odpowiedzialnością biznesu zyskuje na popularności i coraz częściej przyjmuje wymiar praktyczny – zadania z zakresu CSR weszły do stałych zadań realizowanych przez firmy, którym zależy na dobrym wizerunku, pozytywnym odbiorze społecznym, zaufaniu do marki. Przedsiębiorcy wychodzą z inicjatywą organizacji warsztatów edukacyjnych, podejmują działania, które mają na celu popularyzację zdrowego trybu życia i ekologii, angażują się w pomoc potrzebującym. Oprócz tego typu działań równie ważne jest stosowanie etycznych praktyk w biznesie na co dzień – w relacjach z pracownikami oraz kontaktach z klientami i kontrahentami. Właśnie takie wartości od 19 lat promuje Fundacja „Instytut Badań



nad Demokracją i Przedsiębiorstwem Prywatnym”, nagradzając wzorowe pod tym względem firmy w ramach rocznego programu Przedsiębiorstwo Fair Play.

Program od lat promuje etykę w biznesie i dąży do upowszechnienia tego typu praktyk w krajowym środowisku przedsiębiorczości. 25 listopada w warszawskim EXPO XXI odbyła się gala finałowa ostatniej edycji, podczas której zostały wręczone nagrody oraz certyfikaty przeznaczone dla przedsiębiorstw wyróżniających się uczciwością, rzetelnością i przywiązaniem do zasad etyki. Finał każdej edycji programu to wielkie święto odpowiedzialnego biznesu. Również na ubiegłorocznej gali, którą poprowadziła dziennikarka i prezenterka Anna Popek, oprócz laureatów pojawili się przedstawiciele władz państwowych i samorządowych oraz sektora bankowego.

Nagrodę główną – statuetkę Przedsiębiorstwo Fair Play 2016 – przyznano 15 firmom. Ponadto kapituła programu przyznała trzy nagrody specjalne Debiut Fair Play. Trzy firmy odebrały wyróżnienia za szczególną działalność proekologiczną, a 25 przedstawiciele polskiego biznesu: prezesów, dyrek-



W ostatnich latach tematyka związana ze społeczną odpowiedzialnością biznesu zyskuje na popularności i coraz częściej przyjmuje wymiar praktyczny.

torów i właścicieli firm – wieloletnich laureatów programu – uhonorowano tytułem „Ambasador Fair Play w Biznesie 2016”. Dodatkowo 11 firm, które nieprzerwanie od 15 lat utrzymują certyfikat, zdobyło Diamentową Statuetkę Przedsiębiorstwo Fair Play. Uroczysty wieczór zakończył się balem andrzejkowym. ■





„SPOŁEM” POWSZECHNA SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW „ROBOTNIK” W ZAMOŚCIU

Polska firma handlowa od 1919 roku.

MISJA – „Tradycja – zaufanie – nowoczesność w obsłudze klienta”

Obszary działalności:

- handel ogólnospożywczy w 21 sklepach  i 
- produkcja pieczywa w 4 piekarniach
- produkcja ciast w ciastkarni

Jesteśmy laureatem konkursu Przedsiębiorstwo Fair Play 2016 oraz Srebrnego Lauru.

„Społem” Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Robotnik”

ul. Peowiaków 92, 22-400 Zamość

tel.: 84 638 17 35, faks: 84 638 17 33, e-mail: poczta@spolem-zamosc.pl, www.spolem-zamosc.pl

LPGK obsypane platyną

Platynowa statuetka Fair Play dla Legnickiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej Sp. z o.o. Przyznano ją w ramach programu „Przedsiębiorstwo Fair Play”



Legnickie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej Sp. z o. o. istnieje na rynku usług komunalnych od ponad 50 lat, a od 25 lat działa jako jednoosobowa spółka gminy Legnica. Prowadzi działalność na obszarze Legnicy i powiatu legnickiego, świadcząc głównie usługi związane z odbiorem i gospodarką odpadami komunalnymi. Wykorzystuje do tego szeroki tabor pojazdów specjalistycznych oraz wysoko zaawansowane instalacje, promując szeroko rozumianą ochronę środowiska i ekologię. Administruje również cmentarzami komunalnymi, palarnią i schroniskiem dla bezdomnych zwierząt.

LPGK od wielu lat unowocześnia i modernizuje instalacje związane z go-



spodarką odpadami komunalnymi. Dynamiczny rozwój i społecznie odpowiedzialne działania gospodarcze zaowocowały wieloma nagrodami, potwierdzając rzetelność firmy, dbałość o właściwe relacje w każdej dziedzinie

oraz spełnienie wszystkich wymagań etycznych. W 2016 r. wśród otrzymanych wyróżnień spółka po raz dziesiąty uzyskała Certyfikat „Przedsiębiorstwo Fair Play”, a w ślad za tym Platynową Statuetkę. Warto podkreślić, że jednym z przedmiotów oceny w konkursie było podejmowanie starań na rzecz pozytywnego

oddziaływania na środowisko. Jest to przede wszystkim wyróżnienie dla pracowników przedsiębiorstwa, którzy ciężko pracują, aby osiągnąć wysokie standardy i odpowiednią jakość świadczonych usług. ■



Ogólnopolska
Dystrybucja



Sylwia i Daniel Pikulowie

W naszej firmie każdy pracownik to VIP

Firma VIP Dystrybucja została wyróżniona jako „Przedsiębiorstwo Fair Play”. O byciu fair w biznesie rozmawiamy z jej współwłaścicielką Sylwią Pikul

Czy we współczesnym świecie uczciwy biznes ma jeszcze rację bytu?

– Moim zdaniem uczciwy biznes właśnie powraca do łask. Współcześnie dzięki Internetowi bardzo łatwo przeświecić każdą firmę, a sztucznie budowany wizerunek nie robi już na nikim wrażenia. Tworząc firmę kilkanaście lat temu, zawsze na pierwszym miejscu stawialiśmy szacunek do drugiego człowieka. Tradycją są firmowe spotkania, wigilie, szkolenia oraz wsparcie ze strony firmy. Ze swoją pomocą wychodzimy także poza mury przedsiębiorstwa i często wspieramy akcje charytatywne i szczytne inicjatywy.

Z czego jesteście państwo najbardziej dumni?

– Miniony rok przyniósł nam kilka biznesowych sukcesów, ale największy to zadowolenie naszych pracowników, to, że pracują z nami od wielu lat, że tworzymy zgrany zespół i możemy liczyć na siebie nawzajem. Dla mnie jako pracodawcy to niezwykle ważne, że pracownicy mają zaufanie, dzielą się z nami wątpliwościami, przychodzą do nas po radę, ale też sami inicjują zmiany w firmie, czują się za nią współodpowiedzialni. Efektem jest statuetka Przedsiębiorstwo Fair Play – dla nas to powód do radości i dumy.

Rozmawiał Igor Korczyński



Spółdzielnia Inwalidów „ZGODA”

ul. 8-go Marca 1
95-050 Konstantynów Łódzki
tel./faks: 42 211 16 42 , office@zgoda.pl
www.zgoda.pl



PN-EN ISO 9001:2009
PN-EN ISO 14001:2005
PN-N 18001:2004

Spółdzielnia Inwalidów „ZGODA” jest długoletnim i znaczącym producentem środków ochrony indywidualnej, a jej wyroby uzyskały powszechną akceptację i renomę. Spełniają one wszelkie wymagania określone w Dyrektywie 89/686/EWG i związanych z nią normach zharmonizowanych.

W spółdzielni realizowana jest polityka społeczna na rzecz osób niepełnosprawnych w zakresie ich aktywności zawodowej i społecznej. Ma to miejsce m.in. w działającym w firmie Warsztacie Terapii Zajęciowej.

Działalność „ZGODY” reguluje wdrożony Zintegrowany System Zarządzania Jakością, Bezpieczeństwem i Środowiskiem. Dodatkowo środki ochrony indywidualnej III kategorii są pod stałym nadzorem Jednostki Notyfikowanej – CIOP PIB.

Ponad 60-letnia tradycja firmy w produkcji wyrobów włókienniczych, w tym środków ochrony indywidualnej, pozwoliła wypracować korzystny wizerunek, o czym świadczą przyznane jej liczne nagrody i wyróżnienia oraz pozytywny odbiór przez krajowych i zagranicznych klientów.



Półmaska filtrująca ZF 0/35z FFP3 NR D



Półmaska ZF A 0/37z FFP2 R D
z włókniną węglową



Rękawica ochronna D-12
(odporna do 100°C)



Rękawica ochronna DP-1

Patrząc

w przyszłość



Niezmiernie cieszy fakt, iż na rynku coraz bardziej doceniane są krajowe firmy lokalne, które przez lata często z małych przedsiębiorstw stały się średnimi czy dużymi i są wiodącymi w swoich branżach, rzetelnymi podmiotami, a przede wszystkim stabilnymi i elastycznymi partnerami. Takim przykładem jest Sierosławski Group

Sierosławski Group istnieje od 1968 r. Od tego czasu jej zarząd dba o klientów, produkty, pracowników, buduje relacje długoterminowe oparte na zaufaniu i porozumieniu. Działalność firmy opiera się na dwóch filarach – przetwórstwie tworzyw sztucznych i narzędziowni. Ta ostatnia jest oczkiem w głowie całej kadry firmy, to w nią z pasji zainwestowano w ostatnich latach ponad 10 mln zł. Narzędziownia to świat dużych chłopców, konstruowanie, tworzenie, budowanie formy z wielu podzespołów, takie klocki lego i majsterkowanie w jednym. To praca wielu doświadczonych specjalistów, połączona z nowoczesnymi technologiami i zaawansowanymi programami do konstrukcji, symulacji wtrysku i prototypowania. To fabryka pomysłów, nowych produktów i roz-

wiązań. Formy wtryskowe konstruowane są w taki sposób, aby maksymalnie ograniczyć czas cyklu produkcyjnego, kosztowną odpadłość, wyeliminować czasochłonne sortowanie czy gratowanie detali. Większość z nich to formy z grzanymi kanałami, mechanizmami wykręcającymi czy innymi opatentowanymi rozwiązaniami, które gwarantują długą ich żywotność. Narzędziownia to też oprzyrządowanie różnego rodzaju, testery oraz części metalowe do produkcji silników odrzutowych i turbośmigłowych, więc śmiało można stwierdzić, że Sierosławski Group przyczynia się do rozwoju lotnictwa i bezpieczeństwa transportu powietrznego.

Wtryskownia to już świat realizacji projektu na gotowej formie. Różnorodność i warianty produktów oraz wielorakość kolorów i wzorów użytkowych wymaga częstych zmian technologicznych i pracy doświadczonych operatorów wtryskarek oraz technologów, a także stosowania najnowszszych metod wtrysku.

Dużym wyzwaniem są części i podzespoły do motoryzacji, a to z uwagi na specyficzne wymaga-

nia klienta co do parametrów ich wytrzymałości i odporności na różne czynniki pracy. Aby temu sprostać, w firmie prowadzone są ciągłe prace badawcze i rozwojowe, również w kooperacji z uczelniami. Podążanie za nowinkami i śledzenie trendów to jeden z głównych, warunkujących dalszy rozwój firmy czynników.

Wielkimi krokami zbliża się 50-lecie grupy Sierosławski. Będzie ono czasem podsumowań i wielu wspomnień, ale przede wszystkim okazją, by na nowo zdefiniować oczekiwania co do przyszłości i rozpocząć kolejny 50-letni etap historii. ■

Dziś Sierosławski Group jest dostawcą i klientem wielu krajowych firm, które mają dobrą markę oraz są postrzegane jako rzetelni i solidni partnerzy.

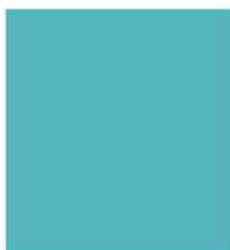


SIEROSŁAWSKI GROUP

Jan Sierosławski



39-300 Mielec, Ul. Inwestorów 7
Tel. 17 744 92 00, fax 17 744 92 18
www.sieroslawscy.com.pl
biuro@sieroslawscy.com.pl



WTRYSKOWNIA

NARZĘDZIOWNIA